

Kazimierz Hałgas

**Byłem w KL Gross-Rosen
i Dyhernfurth**

Wspomnienia lekarza-więźnia

**MUZEUM GROSS-ROSEN
Wałbrzych 2020**

Projekt okładki, skład, łamanie:
Pracownia Informatyczno-Wydawnicza
Muzeum Gross-Rosen

Dodruk wyd. II z 2013 r.
Copyright © 2010
by Muzeum Gross-Rosen

ISBN 978-83-89824-24-0

Wydawca:
MUZEUM GROSS-ROSEN. NIEMIECKI NAZISTOWSKI
OBÓZ KONCENTRACYJNY I ZAGŁADY (1940–1945)
Wałbrzych, ul. Szarych Szeregów 9
tel. 74-842 15 80, tel./fax 74-842 15 94
e-mail: muzeum@gross-rosen.eu
www.gross-rosen.eu

Wstęp

Kazimierz Hałas, autor wspomnień, które właśnie oddajemy do Państwa rąk, spędził cztery i pół roku w obozach koncentracyjnych, najpierw w KL Auschwitz, gdzie trafił w październiku 1940 r., a następnie w KL Gross-Rosen (24.12.1941-10.02.1945) i wreszcie w AL Leitmeritz, podobozie KL Flossenbürg, dokąd został ewakuowany wraz z innymi więźniami. W KL Auschwitz został przydzielony do szpitala obozowego, zwanego rewirem, w charakterze sanitariusza. Miał ku temu wystarczające kwalifikacje, bowiem studiował medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim, a w chwili wybuchu wojny był w trakcie zdawania ostatnich dyplomowych egzaminów. Dane mu było pracować u boku doświadczonych i oddanych lekarzy współwięźniów. Zdobyte w tych ekstremalnych warunkach doświadczenie z powodzeniem wykorzystał w obozie Gross-Rosen, gdzie spędził ponad 3 lata, pracując również na rewirze, najpierw w obozie głównym, a od 14 stycznia 1944 r. w podobozie Dyhernfurth II. Po przybyciu do KL Gross-Rosen, wraz z Józefem Żegleniem – również lekarzem – został skierowany do tzw. rosyjskiego rewiru, który znajdował się w zorganizowanym w październiku 1941 r. obozie dla jeńców radzieckich¹. W czerwcu 1942 r., po likwidacji obozu jenieckiego, trafił do komanda Steinbruch, a więc do pracy w kamieniołomie. Na szczęście pracował tam około 2-3 tygodni, po czym został skierowany do szkółki kamieniarskiej, gdzie niemieckich uczniów przygotowywano do zawodu. Tam był „od wszystkiego”: sprzątał i nadzorował baraki mieszkalne uczniów, prowadził magazyny i był odpowiedzialny za ambulatorium. Do pracy w rewirze wrócił w pierwszych dniach sierpnia 1942 r. Wraz z Józefem Żegleniem byli pierwszymi więźniami-lekarzami, których dopuszczono do pracy w rewirze. Dopiero w 1944 r. liczba lekarzy znacznie wzrosła, przede wszystkim dzięki przywiezionym z ewakuowanego Majdanka. Tak naprawdę więźniowie-lekarze nie byli w stanie wiele zmienić w sytuacji swoich kolegów, albowiem brak leków, głodowe racje żywnościowe i wyniszczająca praca powodowały liczne zachorowania, a tym samym wysoką śmiertelność. Właściwie jedynym możliwym

1. Na obóz dla jeńców radzieckich przeznaczono 3 baraki usytuowane w południowej części KL Gross-Rosen, oddzielając je od reszty obozu dodatkowym ogrodzeniem z drutu kolczastego (R. Olszyna, *KL Gross-Rosen – wybór artykułów*, Wałbrzych 2005, s. 31). K. Hałas pisze o 4 dużych, nowo wybudowanych barakach, s. 63 niniejszego wydania.

sposobem pomocy było przetrzymywanie chorego więźnia jak najdłużej na rewirze.

Kazimierz Hałas przebywał w obozie głównym do 14 stycznia 1944 r., po czym został wysłany do podobozy Dyhernfurth II, gdzie również pracował jako lekarz. W tym samym obozie znalazł się Zbigniew Mariański, który dzięki K. Hałasowi został sanitariuszem; w swojej relacji tak go wspomina:

„/.../ dr Hałas, który sam w wolnych chwilach dosłownie i bez przesady budował szpital, włączał się do pracy murarzy z kielnią, do stolarzy z siekierą. Trudno jest mi tak na papierze oddać ogrom pracy jaki włożył on w rozbudowę tego, co zastał po swoim przyjeździe. Był człowiekiem wymagającym od swego personelu uczciwości w stosunku do chorych oraz rzetelnego wypełniania obowiązków sanitariusza. Był też bardzo wymagającym w stosunku do siebie. Ten człowiek, prawie z niczego, w warunkach nowo powstającego obozu, budował szpital. Budował dosłownie. Znalazł czas na codzienne wizytowanie chorych, zadbanie o nich. Doprowadził w końcu pomieszczenie szpitalne, jak na nasze obozowe warunki, do odpowiedniego poziomu”².

Inny ze współwięźniów, Roman Konarzewski napisał, że „Kazimierz Hałas położył duże zasługi dla poprawienia warunków leczenia chorych w rewirze”³. A były więzień Marian Hołub przyznał, że „to, że żyje” zawdzięcza Kazimierzowi Hałasowi⁴.

W wyniku ewakuacji podobozy, która miała wyjątkowo dramatyczny przebieg, Kazimierz Hałas ponownie znalazł się w obozie głównym, gdzie jednak był krótko, jako że były to już ostatnie dni przed jego ostateczną ewakuacją. 10 lutego 1945 r., wraz z innymi więźniami, został przewieziony do filii KL Flossenbürg – Leitmeritz, gdzie 8 maja 1945 r. odzyskał wolność. Do Polski wrócił kilkanaście dni później.

Po kilku miesiącach, 22 września 1945 r. otrzymał dyplom na Uniwersytecie Jagiellońskim, a 9 marca 1950 r. na Śląskiej Akademii Lekarskiej – jako pierwszy w tej uczelni – uzyskał stopień naukowy doktora, na podstawie dysertacji „Poziom tlenkowej hemoglobiny we krwi niektórych pracowników hutnictwa i górnictwa”.

W pierwszych latach po wojnie był lekarzem wojskowym, m.in. w 35 Pułku Piechoty w Tarnowskich Górach, następnie pracował w szpitalach w Paczkowie, Nysie, Jastrzębiu Zdroju i Kędzierzynie Koźlu.

Żaden z byłych więźniów-lekarzy nie napisał tak szczegółowych wspomnień z obozu i działalności rewirów, jak uczynił to Kazimierz Hałas, stąd

2. Z. Mariański, *Moja droga do Dyhernfurth II*, w: „Przeżyliśmy Gross-Rosen”, t. II, z. 5, s. 17.

3. R. Konarzewski, *Zamiast wstępu*, w: „Przeżyliśmy Gross-Rosen”, t. II, z. 5, s. 8.

4. Archiwum Muzeum Gross-Rosen (dalej: AMGR), sygn. 7009/87 – Korespondencja Mariana Hołuba z 1970 r.

też są one niezwykle cennym źródłem do poznania historii KL Gross-Rosen. Jego rzetelność i uczciwość w przedstawianiu wydarzeń przejawia się w szczegółach i faktach, które, gdy nie był pewien, weryfikował. Wielu faktów i dat (jak np. ewentualne zgony już po wojnie byłych członków załogi) nie mógł pamiętać i znać, stąd wniosek, że posiłkował się literaturą bądź też dokumentami, których zapewne poszukiwał. O tym, iż przy pisaniu relacji korzystał z pomocy kolegów – byłych współwięźniów oraz z licznych źródeł napisał zresztą w artykułach: „Z zagadnień sanitarnych komanda Dyhernfurth II” (opublikowanym w 1977 r. w „Przeglądzie Lekarskim”) i „Z pracy w tzw. rewirach dla jeńców radzieckich w Oświęcimiu i Gross-Rosen” (opublikowanym w „Przeglądzie Lekarskim” w 1980 r.). Warto wspomnieć, że pierwsze jego wspomnienia z KL Gross-Rosen ukazały się na łamach „Przeglądu Lekarskiego” w 1967 roku⁵.

Dr Kazimierz Hałas zmarł 17 kwietnia 1982 r. w Kędzierzynie Koźlu.

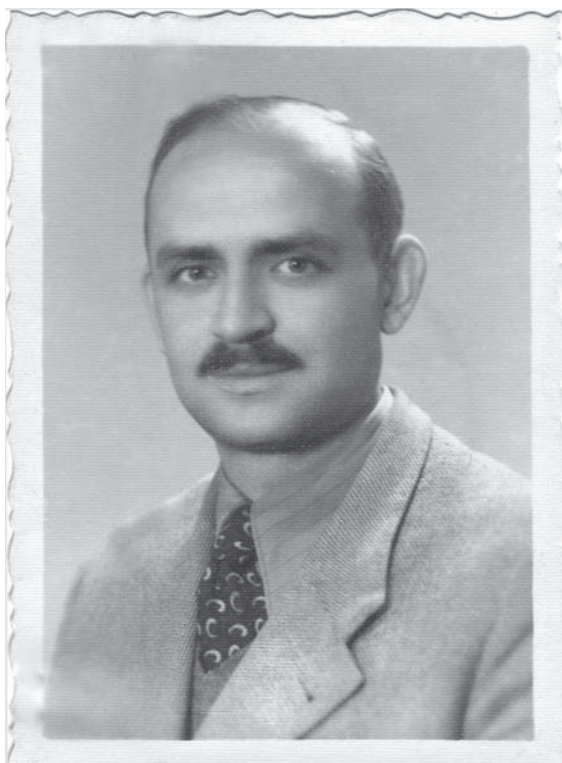
W 1994 r. Państwowe Muzeum Gross-Rosen wydało w języku niemieckim wspomnienia Kazimierza Hałasa z pobytu w podobozie, zatytułowane „Dyhernfurth II. Aussenlager Gross-Rosen. Todeskommando”.

Przygotowując do druku wspomnienia K. Hałasa nie dokonywaliśmy w tekście żadnych zmian, jedynie tam, gdzie uznaliśmy to za konieczne zamieściliśmy w przypisach wyjaśnienie lub uzupełnienie.

Pragniemy podziękować pracownikom Działu Naukowego i Repozytorium Cyfrowego Miejsca Pamięci i Muzeum Auschwitz-Birkenau oraz pracownikom Działu Zbiorów Specjalnych Głównej Biblioteki Lekarskiej im. Stanisława Konopki w Warszawie za pomoc i udostępnienie kopii dokumentów.

Dorota Sula

5. K. Hałas, *Z obozu koncentracyjnego Gross-Rosen (wspomnienia lekarza)*, w: „Przegląd Lekarski”, nr 1/1967, s. 197-203.



Dr med. Kazimierz Hałgas
/zdjęcie z lat powojennych/

Urodziłem się 14.12.1914 r. w Dominikowicach, pow. Gorlice, woj. krakowskie. W chwili wybuchu II wojny światowej byłem absolwentem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, w trakcie zdawania ostatnich dyplomowych egzaminów, a równocześnie pracowałem na etacie lekarza portu lotniczego w Kielcach, w Szkole Pilotów LOPP w Masłowie. Losy wojenne zagnały mnie do Lwowa, gdzie przebywałem w więzieniu śledczym od 23.09.1939 do 23.03.1940 r. Następnie przez zieloną granicę wróciłem do rodziców.

Aresztowany przez Gestapo w Gorlicach 20.08.1940 r. przebywałem w więzieniu w Jaśle i Tarnowie do 8.10.1940 r. Skazany zostałem na pobyt w obozie koncentracyjnym do końca wojny, jako podejrzany o szpiegostwo na rzecz ZSRR. W obozach koncentracyjnych przebywałem do 8.05.1945 roku.

KL Auschwitz - nr 5670

KL Gross-Rosen - nr 1487

KL Auschwitz

... Tak jakoś zleciało tych 48 dni więziennych. W pierwszych dniach października 1940 r. ktoś podał nam wiadomość o transporcie. Widoczne też były pewne przygotowania, jak sprawdzanie nazwisk, oddzielanie i przenoszenie niektórych więźniów do innych cel itd. Zaczynało się coś wreszcie dziać. 8 października, zaraz po śniadaniu zaczęto nas wywoływać alfabetycznie, opróżniać cele po kolei i ustawiać nas na podwórzu tarnowskiego więzienia, w kolumnie marszowej. Następnie w dużej, kilkusetosobowej kolumnie, pod konwojem licznych uzbrojonych SS-manów, pomaszerowaliśmy do stacji kolejowej, gdzie nas poupychano do krytych bydłęcych wagonów, co najmniej po 80 osób, i pozamykano drzwi. Było tak ciasno, że nie można się było poruszać. Spiekota i zaduch nie do opisania. Nikt nie wiedział dokąd jedziemy, ale nasz jasielski kolejarz bezbłędnie wyliczał każdą stację po drodze, aż do Krakowa. Potem się pogubił, bo nie znał trasy. W każdym razie, sadząc po słońcu, a dzień był pogodny, jechaliśmy ciągle w kierunku zachodnim, a więc zapewne do Oświęcimia. Kiedy byliśmy już na miejscu i wykrzykiwano nazwę stacji Auschwitz, nikt spośród nas przemądrzałych nie wiedział jeszcze, że to jest już ten nasz Oświęcim. Takie zatem były nasze wiadomości o Oświęcimiu. Potem nas jeszcze przetaczano niedaleko, gdzieś na bocznice, i nastąpiła chwila odpoczynku i ciszy. Słyszeliśmy jednak jakieś rozmowy i komendy niemieckie. Pociliśmy się wewnątrz, czekając kiedy otworzą i pozwolą wysiadać. I doczekaliśmy się.

Naraz, jak na komendę, otwarły się z trzaskiem i krzykiem drzwi wszystkich wagonów i straszliwy wrzask wielu głosów: Raus, raus! Masa SS-manów, uzbrojonych w karabiny, pałki, drągi, bykowce, wrzeszcząc waliła gdzie i kogo popadło. Kopiąc i wrzeszcząc pędzili nas jak bydło do bramy obozu. Ten wrzask, bicie, szczekanie psów, robiły wrażenie piekła. Tak pękły nasze ostatnie pojęcia o niemieckiej kulturze! A człowiek najbardziej wierzy w to, czego dozna naocznie lub cieleśnie. Miałem wtedy cholernego pecha. Dostałem kolbę karabinu po nogach i odarto mi skórę nogi prawej, aż do kości. Bolesne i trudno gojące się miejsce. Pogubiłem moje drewniaki i zostałem boso. Jakiś SS-man czepił się mnie tak, że podarł mi koszulę i wiatrówkę. Zapędzono nas na duży plac, gdzie był staw, a wokół było kilkanaście koszarowych baraków z czerwonej cegły. Potem ustawiono nas w dwuszeregu i wy-

woływano, ostatni raz po nazwisku, i po pięćdziesięciu prowadzono nas do budynku, gdzie była łaźnia. Tam składaliśmy całe nasze ubranie do papierowych worków. Każdego strzyżono maszynkami okropnie tępyimi, przechodziliśmy w biegu przez kąpiel pod zimnymi natryskami, następnie szprycowano nas i smarowano jakimiś nieznanymi cuchnącymi płynami. W końcu każdy otrzymywał bieliznę i ubranie z konopnego drelichu w niebiesko-białe pasy, we wszystkich odcieniach tego koloru. Dodatkowo każdy otrzymywał dwa trójkątne kawałki czerwonego materiału i dwie białe szmatki, na których wypisywano nam numer. Taki trójkąt czerwony z czarną literą P oraz białą szmatkę z wydrukowanym numerem musiał sobie każdy naszyć na lewej piersi i prawej nogawce spodni. Numer ten trzeba było zapamiętać w języku niemieckim, i to było nasze nowe nazwisko. Nazwisk więcej w obozie nie używano. Litera P oznaczała więźnia narodowości polskiej, T – czeskiej, Y – jugosłowiańskiej, F – francuskiej itd. Trójkątne naszywki oznaczały rodzaj więźniów, a więc kolor czerwony oznaczał więźniów politycznych, zielony – przestępców pospolitych, fioletowy – sekty religijne, czarny – elementy niepracujące (associale, arbeitscheuer), różowy – zбочzeńców seksualnych, a gwiazda zrobiona z trójkąta czerwonego i żółtego oznaczała narodowość żydowską, bez względu na przynależność państwową. Wszystkie te czynności, łącznie z oględzinami lekarskimi, bo w badanie nikt się tam nie bawił, odbywały się w tempie biegiem, przy akompaniamencie wrzasków i bicia czym i gdzie popadło.

Potem nastąpiła ponownie zbiórka i przedstawienie nas lagerführerowi Fryczowi. Mały, gruby, wąsiasty oficer SS wywrzeszczał nam swoje credo, i pokazując na komin krematoryjny krzyczał, że to jest jedyna nasza droga do wolności, ale jeszcze przedtem musimy nauczyć się niemieckiego porządku, pracy i posłuszeństwa. Oczywiście z tego krzyku nie zrozumielibyśmy ani słowa, ale tłumacz więzień wykrzykiwał nam to samo po polsku, co pan komendant raczył powiedzieć. Wokoło w tym czasie, a był to już wieczór, obserwowaliśmy tłumy tak samo jak my ubranych ludzi, ale już o wiele bardziej wyniszczonych i wychudzonych, poruszających się w miejscu, w dziwnym tempie biegiem. Wszyscy byli bez czapek, z ogolonymi głowami i boso. To byli nasi starsi obozowi koledzy. Wyglądało to na przerażający wariacki zakład. Po przemówieniu komendanta nastąpił podział naszego transportu na bloki. Największa część z nas przypadła na blok 17a, blok czerwonego diabła, czyli blokowego Alojza Stallera. Był to, nie wiadomo dlaczego, więzień polityczny, narodowości niemieckiej. Gorszego bandyty dla Polaków nie było wówczas w Oświęcimiu. Każdą rozmowę zaczynał od bicia, a szczególnie bezlitośnym był dla inteligentów. Opowiadano, że podobno stracił kogoś z rodziny w kampanii wrześniowej, inni jednak twierdzili, że siedział już od kilku lat w kacecie i wcale się z rodziną nie kontaktował. Blok krwawego Alojza był ogólnie znany i często po wojnie opisywany. Trudno jest opisać właściwą atmosferę tego bloku. Bicie czym tylko sobie można wyobrazić, dzień i noc,

wszędzie, gdzie popadło; panowała tam jednak niepisana reguła, żeby przedtem zdjąć okulary, jeśli ktoś ich używał, potem wolno już było bezkarnie za-
bić. Wrzask, krzyki, bicie nie tylko pięściami i rękami, ale po prostu drągami,
jak styliska łopat czy grube kłonicie, kopanie, skakanie po leżącym, zwykany
w każdym miejscu i w każdy sposób były dozwolone i trwały dzień i noc.
Specjalnie każdy nowy transport przechodził takie kilkudniowe przeszkolenie
wstępne. Polegało ono przede wszystkim na wyczerpujących całodziennych
ćwiczeniach sportowych, jak żabki, przysiady, powstań i padnij, kręcenie się
wkoło aż do upadku, taniec z podniesionymi ramionami, rolowanie po ziemi
i po błocie, a wszystko w tempie biegiem, bez jęku, bez westchnienia, z bi-
ciem i kopaniem, jakie trudno sobie wyobrazić temu, kto tego nie doznał. Pierw-
szego dnia, podczas takiego sportu, kiedy nogi mi już sztywniały z bólu, po-
zwoliłem sobie jęknąć: o Boże! Nie wiedziałem, że za mną stoi SS-man. Mu-
siałem zaraz solo wykonywać żabkowanie przez cały plac apelowy, długości
co najmniej 80 metrów, a on szedł za mną i za każdym krokiem szpicem buta
kopał mnie w kość ogonową. Myślałem, że to jest już ostatnia moja godzina
w życiu. Przez wiele tygodni potem siadałem powoli i ostrożnie, i bokiem, bo
ciągle miałem nieznośny ból w krzyżach.

Wolne chwile między ćwiczeniami, jedzeniem i spaniem wypełniała zbior-
owa nauka języka niemieckiego, przez skandowanie wierszyków, lub nauka
piosenek. W moich czasach były zasadnicze trzy: Meilensteine, Auschwitz
i Haselnuss. Meilensteine musiał każdy nauczyć się na pamięć:

*Es gibt nur eine Weg zur Freiheit.
Seine Meilensteine heissen: Fleisigkeit, Ehrlichkeit, Gehorsam,
Sauberkeit,
Ordnung, Nüchtern, Opfersinn
und Liebe zum Vaterland.*

A piosenka o Oświęcimiu:

*Im Lager Auschwitz war ich zwar,
Holario Holario
So manche Monat, Tag und Jahr,
Holario Holario
Ob Arbeitsdienst, ob Sport und zwingt, Holario Holario
So stets ein frohes Lied erklingt,
Holario Holario*

i jeszcze

*Schwarzbraun ist der Haselnuss
Schwarzbraun so wie ich
Schwarzbraun muss mein Mädels sein
Schwarzbraun so wie ich
Holario Holario!*

Oczywiście, nawet ta nauka niejednemu, co nie rozumiał ani słowa, przysparzała wiele kłopotów, była powodem do bicia i znęcania się. Wówczas w obozie nie wolno było jeszcze chodzić normalnym krokiem, tylko biegiem w odpowiedniej sportowej pozycji, z przyciągniętymi do tułowia łokciami. Nie wolno było stawać, nie wolno było biegać (czyli spacerować w wolnej chwili) w większych grupach jak po dwóch. Nie wolno było załatwiać potrzeby fizjologicznej kiedykolwiek, lecz tylko w wyznaczonych porach, nie wolno było posiadać ani palić papierosów, nie wolno było w ogóle niczego posiadać, w ogóle niczego nie wolno było. Wszystko było na nie. Człowiek był cały dzień sprawdzany, rewidowany, bity, popychany, wyzywany, ciągle zbiórki, liczenie, spisywanie itd., itd. Spotkałem dwóch moich kolegów gimnazjalnych, którzy tu byli już od pierwszego transportu: Tadek Mruka (nr 228) i Stasia Dubickiego (nr 513), obaj pocieszała, że jak się pójdzie do pracy, to będzie lepiej. Wystarczyło jednak tylko spojrzeć na nich, to widziało się prawdę: wynędzniali, wychudli, wiecznie zmarznięci... Już byli u kresu sił.

Do pracy poszliśmy po czterech dniach, tzn. 12 października. Dla mnie ten pierwszy miesiąc był bardzo pechowy. Pech pierwszego dnia zaważył. Oba podudzia, obite aż do kości, ciągle ropiały i sprawiały ból przy każdym ruchu. Wiadomo, każda rana musi mieć określony czas spokoju, aby mogła się wygoić. Nie miałem opatrunku i nie mogłem się dostać do izby chorych. Byłem tam kilka razy, ale za każdym razem obrywałem pałą od Feliksa, zamiast opatrunku. Co nocy kalesony przylepiały się do ran i potem strupy odrywały się przy ruchach i rany były coraz gorsze. Przydział pracy był także nieszczególny. Abbruch komando. Nie umieliśmy jeszcze pracować po obozowemu. Nam się jeszcze praca paliła w rękach, a mimo to braliśmy lanie, bo żądano jeszcze więcej. Wozilo się całymi dniami, w tempie biegiem, pełne taczki, często nawet bezcelowo przewożąc ładunek tam i z powrotem. Pewnego dnia zatrzymał mnie młody i przystojny SS-man i zapytał ile mam lat, skąd pochodzę, a potem za co siedzę i o zawód. A ja, durny, odpowiadałem prawdziwie. Nagle skoczył i tak zaczął mnie lać, jakbym mu wymordował całą rodzinę. Do samego apelu mnie tak szykanował, myślałem, że to ostatnia godzina.

Wtedy jeszcze nie było stałych komand. Każdy szukał za czymś lepszym. Dostałem się do wyładunku jakiejś paszy dla koni. W tej paszy były dość duże bryłki wykryształizowanego cukru. Jedliśmy to z głodu. Wszyscy dostaliśmy już po paru godzinach okropnej biegunki. Rzygałem i siedziałem aż do apelu pod latryną. Jakoś udało mi się to przetrzymać. Następnego dnia wyładowywaliśmy dla SS duże sery szwajcarskie. Ktoś specjalnie upuścił jedną sztukę,

która połamała się, a więźniowie to momentalnie zjedli. Tym razem nie brałem w tym udziału. Dostałem jednak bicie wraz ze wszystkimi. Brakło jednego sera do rachunku. Wprawdzie nie znaleziono u nikogo ani kruszynki, nawet między zębami, bo i tak szukali, ale całe komando dostało po 5 bykówców bez spodni.

Najgorszy przydział miałem pewnego dnia na Sole. Było nas za dużo w komandzie Industriebhoffu i zabrano 20, przydzielając nas do komanda Soła. Potem dodano jeszcze Żydów z karnej kompanii i poszliśmy. Trzeba się było rozebrać do naga i stojąc po pas w wodzie wybierać czerpakami z dna rzeki piasek ze żwirem. Po południu pracowałem już tylko na brzegu przy przyrmach, gdzie nie trzeba się było rozbierać, ale wtedy okropnie przemarzęłem. Wracając z pracy, całe komando kaszłało i kichało okropnie, ja też. Jedyne ta zimna przymusowa kąpiel pomogła mi na moje poranione nogi. Wymoczone pół dnia w wodzie, od tego dnia wykazywały stałą, powolną poprawę.

Załamane się wtedy psychicznie. Widziałem, że łamię się fizycznie, widziałem jak inni nie wytrzymują i coraz więcej ludzi ginie, i stało mi się właściwie wszystko jedno, jak i kiedy. Zacząłem sprzedawać chleb za papierosy. Wtedy więźniom nie wolno było palić w ogóle, zatem ceny papierosów były szczególnie wysokie. Za 1 papierosa trzeba było oddać całodzienną porcję chleba, 350 gram. A czasem było jeszcze drożej. I trzeba było palić po kryjomu.

Raz przy takiej transakcji koło latryny obserwował mnie jakiś siwy starszek, w czystym pasiaczku, ale przykrótkich spodniach, wysoki, chudy. Podszedł do mnie i kiwając głową powiedział: Oj, niedobrze kolego, niedobrze. Zdenerwowało mnie to pouczenie i odfuknąłem: Dlaczego niedobrze, staruszkule? Widzisz, nie wiem, kto ty jesteś – powiedział – ale ja jestem starym lekarzem i wiem, że organizm musi jeść, bo zginie, a palić nie musi. Człowiek jest rozumny i może się powstrzymać. Przyznałem mu się do zawodu. Gdzie studiowałeś? – zapytał. W Krakowie. A znałeś Stefana Pizła? Starszy o rok mój kolega. No widzisz, a ja jestem też Stefan Pizło, jego ojciec, byłem lekarzem powiatowym w Nisku. Porozmawialiśmy. Kiedy się dowiedział o moich kłopotach z opatrunkami nóg, oglądnął rany, kazał poczekać i przyniósł maści i materiał opatrunkowy, i sam mi opatrzył. A potem jeszcze wsunął mi do ręki pudełeczko z 6 sztukami papierosów Juno i powiada: Weź to, ja nie palę, dostałem to od SS-mana za poradę. Napal się i przestań palić. Wstyd mi było, ale wziąłem. Napaliłem się, i przestałem sprzedawać chleb za papierosy. Ale jeszcze większy wstyd mnie palił, kiedy już pracowałem w rewirze i widziałem, że staruszek także namiętnie palił. Ileż ci ludzie mieli siły w sobie, żeby tak postąpić! Lubiliśmy się bardzo. Niestety, on zmarł w Oświęcimiu. Miał wyjechać do obozu w Lublinie i czekał już nawet na kwarantannie. Zakaził się tyfusem plamistym i zmarł. Lekarz o wielkiej wiedzy i etyce.

Klimat i pogoda, to ważne czynniki w życiu człowieka, a w życiu więźnia często najważniejsze i decydujące o życiu. Niemcy wybierając miejsca na obozy

koncentracyjne, preferowali okolice o przykrym i szkodliwym dla człowieka klimacie, a więc malaryczne, mokre, przewiewne, podgórskie itd. Jeżeli w tych warunkach występowały okresy złej pogody, czy wręcz niepogody, skutki były fatalne, ludzie ginęli jak muchy.

W 1940 roku zima przysłała bardzo wcześnie. Już 23 października spadł w Oświęcimiu pierwszy śnieg. Nie było tego tak dużo, 5-8 cm, zmieszany z błotem. Ale my byliśmy boso, bez czapek i bez płaszczy. Tylko jedno 100-osobowe komando, zatrudnione bezpośrednio w zabudowaniach SS, było kompletnie ubrane, no i funkcyjni na blokach. Łudziliśmy się nadzieją, że na taką pogodę nie wyjdziemy do pracy. Ale gdzie tam. Po apelu rannym, jak zwykle sformowano kolumny robocze i wychodziliśmy do pracy. W mojej kolumnie tuż przed bramą obalili się jeden człowiek i stracił przytomność. Kapo wyznaczył mnie i drugiego jeszcze więźnia do odniesienia chorego do szpitala. Zanieśliśmy go do ambulatorium. Tam stwierdzili, że jest cały zanieczyszczony i kazali nam odnieść go na blok 14, gdzie wówczas na betonie leżeli durchfalowcy. Odnieśliśmy go tam i wtedy nadszedł Lagerführer Seidler. Zerwaliśmy czapki z głowy, ale nie znając obyczajów szpitalnych, nie wrzasnęliśmy „Achtung” i nie meldowaliśmy się sami, dlatego tam jesteśmy. Był wściekły. Zawołał blokowego karnej kompanii, Krankenmanna, największego mordercę oświęcimskiego i kazał nas do apelu wieczornego „doszkolić”. Przed apelem wieczornym sam to skontroluje. Był to chyba najczarniejszy dzień mojego życia. Krankenmann, popędzając nas bykowcem i kopniakami zabrał nas natychmiast i dołączył do tej części karnej kompanii, która tego dnia zasypywała staw obozowy. Na środku koszar był dawniej duży staw, który służył do pojenia koni. Teraz zasypywano go żwirem, piaskiem, gruzem itp. materiałami. Część karnej kompanii, w tempie biegiem, zwoziła gruz, druga część tańcząc z podniesionymi rękami w wodzie „ubijała” bosymi nogami ten nierówny materiał. Potem, gdy staw był już zasypany, Krankenmann „walcował” utworzony w ten sposób plac, używając dużego walca, zaprzężonego w ludzi. Sam siadał z bykowcem i powoził. Kto upadł, ginął pod walcem. Cały plac wywalcowano na czerwono, za pomocą tłuczonej na pył cegły i pociągnięto białe linie, oznaczające miejsce zbiórki dla każdego bloku do apelu. Kiedy już wszystko było ukończone, zaczęto kopać fundamenty i na tym placu zbudowano 8 bloków 1-piętrowych, noszących dzisiaj numery 4, 5, 6, 7, 15, 16, 17 i 18.

Wówczas był to jeszcze bagnisty staw, wypełniony błotem i gruzem. Zostaliśmy tam „deptaczami” pod specjalnym nadzorem rozebranych capów. Ja dostałem się pod opiekę Dżoniego. W tym błocie powyżej kolan, ćwiczyliśmy hüpfen, tancen, hinlegen, rollen, aż do wieczornego apelu, bez przerwy południowej. Ile bicia wtedy zebraliśmy, Bóg jeden raczy wiedzieć. Kilka potężnych ciosów spowodowało wtedy olbrzymi krwiak szyi po lewej stronie i zerwanie mięśni szyjnych. Nie mogłem reagować na komendy, bo ogłuchłem.

Coraz więcej robiłem błędów i coraz więcej zbierałem bicia. Myślałem, że to już koniec i modliłem się, żeby to jakoś bezboleśnie przeszło. Parę chwil przed apelem wieczornym zjawił się lagerführer Seidler i zapytał Krankenmanna: „Na und wo sind die zweite?” Meldowaliśmy się natychmiast. Byliśmy od stóp do głów oblepieni błotem jak kukły. Spojrzał na nas, wyciągnął zegarek i powiedział: „Za 5 minut meldujecie się u mnie, anständig und sauber, inaczey nie wyjdziecie już z SK!” Obok przy ulicy była studnia z ręczną pompą kołową, jak przy sieczkarni. Jeden dopadł korby i już pompował wodę, a drugi rozbrajał się do rosołu, kapał i prał bieliznę i ubranie, równocześnie głośno licząc, aby dzielić się sekundami z kolegą. Liczba 150 była graniczną. Teraz drugi. Znowu 150. Teraz już nie było czasu na wykręcanie. Ubierało się w biegu bieliznę i drelich. Najgorzej było z zapinaniem guzików. W ostatniej sekundzie, ociekając wodą jak pod rynną, meldowaliśmy się na rozkaz. Nasz desperacki pośpiech i wygląd musiały być jednak osobliwe, bo lagerführer nie wytrzymał i opanował go atak śmiechu. Służalczko wtórowali mu Krankenmann z capami i zebrani dookoła blockführerzy. To nas uratowało. Usłyszeliśmy wreszcie krótkie: „Weg!” i po przepisowym odmeldowaniu się, powlekliśmy się na blok. Tam dostało mi się jeszcze od Alojza za mokre i zniszczone ubranie. Musiałem jeszcze raz je prać i mokre ubierać.

Tego wieczora podzielili nasz blok. Alojz znowu miał dostać nowych. Ja dostałem się na blok 10. Zanim nas spisano, podzielono na sztuby itd. minęło trochę czasu. Tymczasem dostałem okropnej gorączki i dreszczy. Nowy blokowy był lepszy. Jak to zobaczył, kazał mi dać suchą bieliznę i ubranie. Kiedy zobaczył jak bardzo jestem pobity, zaprowadził mnie, mimo późnej pory, do rewiru i tam zaopatrzone mnie i dano dwie tabletki aspiryny. Tego dnia był czarny dzień w obozie oświęcimskim. Po raz pierwszy liczba zgonów dziennych przekroczyła sto osób i później już prawie nigdy poniżej nie spadała.

Następnego dnia nadal miałem gorączkę i dreszcze. Blokowy zostawił mnie na bloku do prac porządkowych. Bałem się jednak spotkać znowu lagerführera, który stale chodził po blokach, więc już więcej nie korzystałem z tego, ale chodziłem do pracy na Bauhofie. Nadal jednak odczuwałem gorączkę, miałem dreszcze i coraz więcej kaszlałem. W płwocinie zaczęła się pojawiać krew. Ponadto nie mogłem bez bólu skręcać karku i poruszać głową. Prawie codziennie meldowałem się do lekarza, jednak tylko dwa razy dostałem się do ambulatorium, gdzie otrzymałem tabletki przeciwgorączkowe.

2 listopada dostałem się nawet do dr. Deringa. Zbadał mnie, gorączki miałem około 40 stopni. Byłem już ostatni w kolejce. Twierdził, że nie ma już wolnego miejsca. Obiecywał na jutro. Dał tabletki przeciwgorączkowe. Wszedł wtedy niemiecki więzień, blokowy 20 bloku, Peter Welsch. Miał na sobie biały kitel lekarski i słuchawki na szyi, mimo że z medycyną nie miał nic wspólnego. Zapytał Deringa, wskazując palcem na mnie, co to za przypadek. Ten odpowiedział, że zapalenie płuc. Wobec tego Niemiec, z mądrą miną, obsłuchał

mnie i potakując głową potwierdził rozpoznanie. „Ja, ja, das stimmt. Und was machen wir damit?” – zapytał Deringa. Ten odpowiedział, że nie ma już ani jednego miejsca. Zapytał mnie wtedy, jaki jest mój zawód. Odpowiedziałem jednym słowem: ein Mediziner. Kazał zawołać dr. Suliborskiego i udając troskę w głosie, kazał mu natychmiast dla kolegi po fachu przygotować miejsce, i zaznaczył, że mnie będzie osobiście leczyć. Oczywiście, sprowadziło się to do faktu, że dostarczył 2 rurki eubazyny w tabletkach, skradzione w SS-rewirze, a resztą zajął się serdecznie dr Suliborski. Obstawiał mnie bańkami, kazał dać kompresy, gorącej herbaty, podwójne przykrycie itd. Pociłem się tak, że po prostu pływałem w łóżku. Odpluwałem coraz więcej. Trzeciej nocy gorączka spadła nagle i zacząłem zdrowieć z godziny na godzinę. Pomijając dotychczasowe, Welschowi zawdzięczałem o wiele więcej, bowiem rozmawiał w mojej sprawie z kapo rewiru Bockiem i sprowadził go do mnie 9 listopada, kiedy już się czułem znacznie lepiej. Bock wypytał mnie o zawód; powiedziałem, że jestem nieukończonym lekarzem, bez ostatnich egzaminów. Zaproponował mi pracę w charakterze sanitariusza (pflegera) salowego, pod warunkiem, że jeszcze tego samego dnia rozpocznę pracę. Oczywiście, zgodziłem się z radością, mimo że ledwo stałem na nogach. Otrzymałem nowy czysty drelich, buty drewniane, tzw. holenderki, i salę chorych nr 5, w bloku 16, na brudnej chirurgii. Właśnie skończyli tam pracę murarze, bo stawiali nowy piec. Teraz sam musiałem skończyć prace malarskie, posprzątać i pozmywać, i od wieczora po apelu rozpocząć przyjmowanie chorych, do dopiero co urządzonych łóżek. Sam też po raz pierwszy otrzymałem własne łóżko w sali sanitariuszy, na tym samym bloku. Do apelu wieczornego przygotowałem wszystko, łącznie z założeniem książki chorych i potrzebnej dokumentacji.

Szefem moim był chirurg blokowy dr Tadeusz Gąsiorowski, po UJ w Krakowie, starszy kilka lat ode mnie. On bardzo wiele mi wówczas pomógł. Doradzał, wyraźnie forował i pomagał, uczył pisać po niemiecku historie chorób i prowadzić właściwą dokumentację. On też wtajemniczał mnie w zagadnienia obozowe, których przecież nie znałem. Wówczas lekarzom i medykom więźniom oficjalnie nie wolno było pracować w więziennych szpitalach. Jednak lekarzy SS było mało, więc chętnie wysługiwali się więźniami.

Szpital oświęcimskiego obozu nazywany był Häftlingskrankenbau, w skrócie HKB. Nazwę rewir używało się w Oświęcimiu raczej tylko w stosunku do SS-rewiru. W listopadzie 1941 roku szpital więzienny w obozie mieścił się w blokach 20, 16, 15 i 14 (według starej numeracji).

Blok 20 stanowił trzon działalności szpitalnej. Blok 16, gdzie wówczas mieszkał blokowy szpitala (późniejszy lagerälteste), i gdzie mieściła się główna kancelaria rewiru, stanowił jakby dyrekcję czy administrację szpitalną. W bloku 20 mieściło się ambulatorium, czyli izba przyjęć, połączona z zapleczem aptecznym. W ambulatorium pracował wtedy naczelny lekarz spośród więźniów, dr Władysław Dering (nr 1723) z Warszawy i dr Diem Rodolf (nr 10022), rów-

niez z Warszawy. Sanitariuszem był Feliks Walentynowicz (nr 46) z krakowskiego pogotowia, a funkcję aptekarza pełnił Marian Toliński (nr 49). Naprzeciw ambulatorium była sala, gdzie przygotowywano tzw. arztvormelderów, czyli chorych zgłaszających się do lekarza, do przedstawienia ich niemieckiemu lekarzowi. Jeśli ten nie przyszedł, funkcję jego spełniał sanitariusz SS, tzw. SDG (Sanitätsdienstgehilfe), czasem nawet tylko blokowy, Niemiec Peter Welsch (nr D-3207). Tak więc nie zawód wyszkolony ani wiedza decydowały o chorobie i życiu, ale służbowy obozowy przydział. Obok mieściła się łaźnia i pralnia szpitalna. Tam pracował ze swymi kolegami niezapomniany kolega Rysio Kwoka, pracz obozowy. Tam też można było znaleźć szpitalnych fryzjerów Antosia Kępę i Antosia Rulczyńskiego. Rulczyński był naszym urzędowym fryzjerem bloku 16. Znał zawsze wszystkie obozowe plotki i sytuację aktualną na każdym froncie, jak powinien znać każdy szanujący się fryzjer. Przez wiele lat po wojnie odwiedzałem przy każdej okazji jego zakład w Katowicach. Tam też, w bloku 20, mieściło się, a właściwie wówczas dopiero organizowało, laboratorium szpitalne. Organizatorami jego byli Nicet Włodarski (nr 1982) i Witold Kosztowny (nr 672). Pierwszego nazywaliśmy Prontosilem, a drugiego Gonokokiem. Nie byli zawodowcami, ale w krótkim czasie opanowali doskonale swą pracę i wykonywali bardzo dobrze podstawowe badania krwi i moczu. Poza tym przyrządzali płyny do zastrzykiwania dożylnego, jak sól fizjologiczną, glukozę 5, 10 i 20. Ponadto sporządzali różne potrzebne roztwory, jak riwanol, płyn Dakina, wodę utlenioną, proste mikstury i herbaty ziołowe. W pierwszych miesiącach 1941 roku zmontowano tam także aparat rentgenowski do prześwietleń. Zdjęć niestety nie można było wykonywać. Pracował tam doskonały radiolog z Lublina, dr Gawarecki. Początkowo nie wiedziałem, dlaczego on się tak wpatruje zawsze w swego rozmówcę i to mnie krępowało. Potem dowiedziałem się, że on jest prawie głuchy i wysłuchuje mowę z ruchu warg.

Na pierwszym piętrze 20 bloku mieścił się oddział wewnętrzny. Tu pracował dr Stanisław Suliborski i dr Zenkteller. W piwnicy mieściła się szpitalna kuchnia mleczna (Dietküche). Prowadzili ją Czesław Sowul (nr 167) i najmłodszy chyba wówczas więzień Oświęcimia, bo dopiero w obozie w 1941 roku ukończył 16 lat, Aleksander Giermański (nr 716) z Sanoka. W kuchni tej produkowano zazwyczaj jedną zupę w dwóch wydaniach, jako Schleimkost, z solą i z cukrem, oraz jako Salzlosekost, to samo bez soli. Była to zupa z kaszy, grysiku, płatków owsianych lub makaronu, z dodatkiem proszku mlecznego, cukru i margaryny. Czasem wydawano też dla ciężko chorych, zamiast czarnego chleba, po kromce białego żytniego lub pszennego chleba, ale nieregularnie i nie codziennie. Zapotrzebowanie na dietę zgłaszało się codziennie pisemnie u blokowego Bocka i on zatwierdzał na poszczególne oddziały i sale liczbę porcji diety, zamiast normalnego jedzenia. Zwykle otrzymywało się 3-4 porcje na 50 chorych.

Dalszą część piwnic bloku 20 zajmowała kostnica szpitalna (Leichenhalle). Tam pracowali wówczas dwaj popularni nasi leichenträgerzy Gienek Obojski i Teofil Banasiuk, obaj z Warszawy.

W bloku 16, wówczas jeszcze parterowym, mieściła się kancelaria główna szpitala, oddział chirurgiczny, stomatologia i pokój starszego szpitala, Hansa Bocka (BV, nr 5). W kancelarii kierownikiem był Kazimierz Szczerbowski (nr 154) z Zakopanego. Głównym lekarzem administracyjnym, odpowiedzialnym za merytoryczne i językowe brzmienie wszelkich lekarskich berichtów i todesmeldungów był dr Leon Głogowski, po uniwersytecie wrocławskim (nr 1281). Pisarzami kancelarii byli: Stefan Frolik (nr 684) z Nowego Sącza, Wojciech Barcz (nr 754) ze Śląska, Jan Szary (nr 364) z Poznania oraz Kazimierz Czubak z Warszawy. Stomatologię prowadził przyuczony dentysta Janusz Kuczbara z Warszawy wraz ze swoim pomocnikiem Heniem Jabłonowskim.

Oddział chirurgiczny, wówczas zasadniczo przeważnie chirurgii brudnej, prowadził młody krakowski lekarz dr Tadeusz Gąsiorowski (nr 1396). Temu człowiekowi zawdzięczałem bardzo wiele. On przyjął mnie w szpitalu jak brata, pomagał, doradzał i pouczał, jak w tych trudnych obozowych warunkach postępować. Dzieliliśmy się każdym kęsem chleba, każdym zdobytym papierosem, którego paliliśmy zwykle na sali zabiegowej w kucki, dmuchając dym do pieca, bo wtedy nie wolno było palić w pomieszczeniach. Był sprytny i błyskotliwy, znał dobrze zawód i dobrze miał opanowany język niemiecki. Miał znaczny wpływ na Bocka. Znał jego tajemnicę, a mianowicie Bock posiadał w piecu aparat radiowy i po nocach wysłuchiwali audycji, przeważnie nadającej po niemiecku stacji Freues Deutschland. Poza tym Bock był narkomanem i był zależny od recept lekarskich na morfinę, z zapasów HKB. Tadeusz wykorzystywał to dla dobra chorych, pomógł w zatrudnieniu wielu polskich lekarzy w szpitalu. Bock nigdy nie cofnął jego decyzji, a przed ważniejszą sprawą, często się go radził. Poza tym na oddziale pracowali jeszcze dwaj lekarze: Kazimierz Hałgas (nr 5670) i rówieśnik, także z Krakowa, Tadeusz Wójcik. Później, od maja 1941 roku, dochodzili dalsi lekarze: Andrzej Nikiel (nr 11830), Wilhelm Türschmiedt (nr 11461), Julian Kozioł, Szczepan Kruczek, Jan Rogacki, Wrona-Merski. Niektórzy pracowali na tym oddziale tylko okresowo, często będąc jeszcze w stanie chorych. Wówczas, w listopadzie 1940 roku, oddział chirurgiczny liczył niewiele ponad 120 łóżek, w trzech salach chorych, i prawie dwa razy tyle chorych, bo, na skutek trudnych warunków obozowych, szpital był stale przeładowany. Tylko najciężej chorzy, z szynami i wyciągami, leżeli sami w łózkach, inni byli lokowani po dwóch w jednym łóżku. Do oddziału chirurgicznego należała jeszcze sala zabiegowa, szumnie zwana operacyjną. Operacyjną z prawdziwego zdarzenia została dopiero w następnych latach. W tej sali zatrudniony był Henryk Sieniawski (nr 191), student politechniki z Warszawy. Poza tym rolę sanitariuszy peł-

nili doszkoleni Mieczysław Dembowski (nr 188), Wiesław Kielar (nr 290), Julian Kiwała, Zenon Ławski oraz jeden Czechosłowak. Gońcem szpitala był Adam Dembowski (nr 677), młodociany. Rolę salowego sprzątacza, tzn. reinerigera, pełnił Roman Klimczyk (nr 3490) z Raławic. W tym bloku mieszkał starszy szpitala, przybyły w maju 1940 r. z Sachsenhausen, Niemiec Hans Bock, wówczas około 40-letni mężczyzna, notoryczny włamywacz, od kilku lat przebywający w obozach koncentracyjnych.

Wszyscy – lekarze, sanitariusze, dentyści, salowi, biuraliści – mieszkaliśmy razem w tym samym bloku, w sali nr 6. Blok 16, podobnie jak blok 20, posiadał już wówczas drewniane trójetażowe łóżka.

Bloki 15 i 14, wówczas, w listopadzie 1940, łóżek jeszcze nie posiadały. Otrzymały je dopiero w lutym lub w marcu 1941 r. Oba też były parterowe. Chorzy leżeli na siennikach, na podłodze, w strasznym zagęszczeniu. W bloku 15 przebywali chorzy podejrzani o choroby zakaźne, tyfus, gruźlicę i ogólne osłabienie, a więc choroba głodowa, odbiałczenie, muzułmaństwo. W bloku 14, początkowo nazywanym blokiem szonungowym, przebywali przede wszystkim chorzy na biegunkę i inne ciężkie stany chorobowe i przedagonalne. Na skutek ciasnoty, chorzy często zmuszeni byli leżeć na jednoimiennym boku i obracać się na komendę na drugi bok. Do odliczania apelowego musieli leżeć w pozycji na baczność, z jedną ręką ułożoną na kocu, dla łatwiejszego liczenia. Lekarzami na tych blokach byli: dr Stefan Pizło (nr 333) z Niska, dr Pakowski z Warszawy, dr Witkowski z Radomia, dr Gałka z Radomia oraz, już pod koniec 1941 r., dr Władysław Feikiel (nr 5647), Stefan Zabicki (nr 11016), Tomir Gajewski (nr 18849), początkowo jeszcze sami jako pacjenci i krańcowo wyniszczeni.

Kierownikiem szpitala więziennego był niemiecki lekarz SS, zwykle oficer, a dyżurny sanitariusz SS, tzw. Sanitätsdienstgehilfe, czyli w skrócie SDG, przebywał od rana aż do wieczora w szpitalu, wysiadywał w kancelarii lub łąził i kontrolował po salach. W czasie, o którym piszę, a więc od listopada 1940 do końca 1941, zasadniczo trzech SDG pełniło służbę przez dłuższy czas. Najstarszy z nich, unterscharführer Sittlinger, był starym Tyrolczykiem i nie był specjalnie groźny, tylko dużo krzyczał. Znacznie gorsi byli dwaj inni. Jeden z nich, najstarszy bodaj z SDG, niski brunet z wąsem, ciągle z fajką w zębach, przeze mnie zapamiętany jako Uhlmann, nazywany jednak przez nas Fajczarzem, był bardzo złośliwym. Nie znosił Polaków i stale nas szykanował. Trzecim, który doszedł do tej pracy wiosną 1941 r., był osławiony szpiclarz Josef Klehr. Ten był najgorszym i był istnym postrachem chorych, jako kierownik i wykonawca akcji zabijania zastrzykami fenolu.

Kierownikiem, czyli starszym więźniem szpitala, był kapo rewiru, później, pod koniec 1941 r. lagerälteste rewiru, Hans Bock. Niemłody już, około 40-letni, złodziej i włamywacz, karany sądownie około 40 razy, przebywający w obozach od 1936 roku, miał żal do Niemców za swe liczne kary i otaczał się

Polakami. Był morfinistą i lubił młode twarze. Dawał się jednak kierować i czasami wiele nawet pomagał. Nie miał jednak skłonności sadystycznych. Przez bliskich współpracowników był nazywany tata-Bock. Jego zastępcą, a równocześnie blokowym bloku 20, był niemiecki więzień polityczny, podobno dawniej nawet komunista, Peter Welsch (nr D-3207). Jego komunizm był chyba tylko z nazwy. Był to zmanierowany hipochondryk, malkontent i niedouk, chętnie w obozie odgrywający rolę lekarza. Chodził często w białym kitlu i ze słuchawkami na szyi, jakby to dodawało mu ważności i wiedzy. Może nie miał złej natury, ale nie miał ani odwagi, ani sprytu, ani obrotności. Był leniwy, lubił grać ważniaka. Obaj z Bockiem byli prostakami i nigdy w życiu nie śnili o takiej władzy, jaką dano im tu w obozie do ręki. Mieli pod sobą tysiące chorych. Byli dyrektorami olbrzymiego szpitala, z władzą absolutną. Mogli dyrygować lekarzami, nieraz wysokimi specjalistami, mogli im dyktować, co mają robić. Niejednokrotnie decyzje ich zależały od otoczenia, które często było zbyt młode i zbyt niedoświadczone. Jako starzy pospolicci więźniowie mieli różne więzienne nawyki, a przede wszystkim morfinę i otoczenie młodych ludzi.

Przyjęcia chorych do szpitala odbywały się zasadniczo poprzez ambulatorium, czyli izbę przyjęć. Chorzy zgłaszali się przy wieczornym apelu i przechodzili przez różne sity. Pierwszą kontrolę wykonywał pisarz blokowy razem z blokowym, potem przeglądał ich blockführer. Czasami jeszcze, ale nie zawsze, byli przedstawiani rapportführerowi. Najślabi, a przede wszystkim już niechodzący, byli odsyłani do szpitala zaraz po apelu. Resztę zapisanych wieczorem, odsyłano do rewiru po rannym apelu następnego dnia. Tam badali ich lekarze więźniowie i sanitariusze, segregowali i przedstawiali ich niemieckiemu lekarzowi lub, w jego zastępstwie, pełniącemu służbę SDG. W ostateczności o przyjęciu decydował blokowy szpitala Welsch lub starszy szpitala Bock. Chorzy nie zakwalifikowani do przyjęcia, np. z powodu notorycznego braku miejsca lub negatywnej opinii niemieckiego lekarza, byli odsyłani na bloki. Tam traktowano ich wtedy jak symulantów i otrzymywali karną pracę lub szykany i bicie.

Stan szpitala więziennego był stale duży i oscylował około 25% stanu obozu. Zasadniczą przyczyną tego stanu było wygłodzenie i wyniszczenie pracą. Dochodziło do tego załamanie wydolności fizycznej i załamanie psychiczne, i człowiek musiał ginąć. Dlatego zasadniczą chorobą prawie każdego więźnia było wygłodzenie i wyniszczenie, a inne choroby były dodatkiem. Stąd podział na oddziały szpitalne był raczej sztuczny.

Urzędowe niemieckie stawki na jednego więźnia przewidywały 1600 kalorii dziennie. Przyjąć należy, że na skutek naturalnych tylko ubytków, jak psucie się produktów, wysychanie itd. oraz kradzieży, nie do uniknięcia w każdym środowisku, przepadała pewna część produktów odżywczych i do więźnia nie trafiało więcej jak 1300 kalorii. Taka norma jest za niska nawet dla

człowieka nie pracującego i przebywającego w pozycji wypoczynkowej. U więźnia zmuszanego od świtu do nocy do ciężkiej pracy i przebywającego cały dzień na zimnie, w niedostatecznym ubraniu, stanowiło to już katastrofę. Niemcy z góry zakładali, że więzień powinien ginąć w obozie po około 3-miesięcznym pobycie. W tym czasie następowało gwałtowne spalanie własnych zapasów tłuszczu i białka, następowało gwałtowne chudnięcie, zmniejszanie objętości narządów wewnętrznych, zwolnienie wszelkich procesów życiowych i zmiana wyglądu zewnętrznego. Krańcowe wychudnięcie, maskowata twarz, zwolnienie wszelkich procesów fizycznych i psychicznych doprowadzało do całkowitego załamania się ustroju, co językiem obozowym nazywano muzulmaństwem. Taki więzień rzadko już tylko mógł się uratować przez jakiś szczęśliwy przypadek.

Więźnia przyjętego do szpitala strzyżono, kąpano, ubierano już tylko w bieleźnię, nierzadko tylko w koszulę, malowano mu ołówkiem kopiowym jego numer na skórze klatki piersiowej i po wypożyczeniu drewnianych pantofli na drogę, rozprowadzano lub odnoszono na poszczególne oddziały. Zwykle więzień tego samego dnia pozbawiony był jedzenia. Jedzenie to powinien był otrzymać z własnego bloku. Rzadko tylko je dostarczano, często nawet posyłanie po blokach nie dawało pozytywnego rezultatu, ktoś zwykle kradł to po drodze... Tak samo do wyjątków należało otrzymanie własnego łóżka. Znaczna część chorych leżała po dwóch w jednym łóżku. Jedynie naprawdę ciężko chorzy lub prominenci otrzymywali oddzielne łóżka.

Szpital był instytucją ostateczną w leczeniu więźniów. Z całego mego 5-letniego pobytu w obozach, znam tylko jeden przypadek odesłania więźnia do kliniki wrocławskiej. Było to w Oświęcimiu, w zimie 1940/1941. Chodziło o chorego więźnia o nazwisku Fingerhutt. Był on przemysłowcem z Polminu, z Drohobycza. Miał on stare bliznowate zmiany jednego oka, ale umiejętnie symulował objawy jaskry. Po rozmowie ze standsortsarzem Porpierschem, na zarządzenie tego lekarza, za zezwoleniem komendanta, odesłany został z naszego oddziału do kliniki okulistycznej. Więcej do obozu nie wrócił. W 1947 roku spotkałem go w Warszawie. Rozmawiałem z nim. Był pracownikiem resortu paliw płynnych. Opowiadał mi, że za łapówkę w dolarach, z kliniki porozumiał się z rodziną. Zapłacili oni wysoką łapówkę lekarzom i w Gestapo, i jako nieuleczalnie chory został zwolniony do domu.

Od lata 1941 r., po przebudowaniu jednego piętra nad blokami 14, 15 i 16, poprawiła się nieco sytuacja w rewirze. Oddział chirurgiczny został przeniesiony na pierwsze piętro bloku 16, zajmując połowę bloku od strony południowej. Nie było tam sal ani korytarzy, ale jedna olbrzymia sala. Można tam było pomieścić od 350 do 400 chorych w łóżkach. Na dole zaczęto urządzać czystą salę operacyjną i trzy sale chorych na oddział czystej chirurgii. Potem tam operowali przeważnie lekarze niemieccy, ucząc się chirurgii od obozowych lekarzy. Do tego czasu nie wykonywano właściwie żadnych czystych

operacji. Z tego okresu, z wczesnej wiosny lub zimy jeszcze, pamiętam tylko jedną operację wyrostka robaczkowego u młodego polskiego więźnia, wykonaną przez dr. Gąsiorowskiego, w warunkach właściwie polowych. Operował Tadeusz, narkozę dał i zabezpieczał zabieg dr Dering, asystował Sieniawski, instrumentowałem ja. Z braku sterylnego materiału, gotowaliśmy w garnczku całą bieliznę operacyjną i materiał, skąd po wyjęciu i wykręceniu był podawany do użycia. Chory wyzdrowiał per primam.

Leczeniem chorych zajmowali się polscy lekarze, studenci medycyny i przyuczeni sanitariusze, tzw. Pflegerzy. Prowadziło się karty gorączkowe i skrócone historie chorób w języku niemieckim. Czasem dostawaliśmy karty z SS-rewiru, częściej musieliśmy je sami rysować i to zajmowało dużo czasu. Temperatura była mierzona dwa razy dziennie, a wpisy do historii chorób dokonywano co najmniej co drugi dzień. To było kontrolowane przez lekarzy niemieckich podczas obchodu, czasem nawet przez SDG, którzy i tak się na tym nie znali. Niewiele było jednak w tych historiach prawdy. Pisało się nie to, co się choremu podawało, ale to, co powinien był otrzymać. Leków przecież było tak niewiele! Po śmierci chorego historię wraz z todesmeldunkiem oddawało się w kancelarii. Tam wypisywano w 8 egzemplarzach pompacyjny todesbericht o heroicznym wprost ratowaniu zdrowia i życia chorego. Zwykle kończył się on słowami: „...niestety, mimo całego trudu i leczenia nie udało się go uratować. Zejście śmiertelne nastąpiło dnia o godz. ... min.”. Całość była fikcją. Tam, tzn. w kancelarii HKB, mieli około 80 wspaniałych takich opracowań na różne choroby, we wspaniałym języku niemieckim i były prawie dosłownie przepisywane w poszczególnych przypadkach. Niektórzy z pracowników kancelarii „specjalizowali” się w opracowywaniu poszczególnych grup chorobowych.

Początkowo miałem trudności w pisaniu niemieckich historii chorób. Żyłem jednak w przyjaźni zwłaszcza z Czubakiem i Frolikiem z kancelarii i oni dostarczyli mi do przeglądnięcia kilka swoich wzorów. Potem mogłem już po kilkanaście takich historii fabrykować dziennie. Nabrałem wprawdy w blagowaniu...

Przekrój chorób na naszym oddziale w zimie 1940/41 roku był bardzo różny, ale przeważała chirurgia ropna, czyli brudna, a potem była chirurgia urazowa. Znaczna część chorych cierpiała na olbrzymie ropowice. Powstawały one nawet z drobnych ran, otarcia skóry od drewnianego buta, otarcia krocza od zmokniętych wiecznie spodni i innych urazów przypadkowych, ale przede wszystkim od bicia, kopania itd., czego w obozie nie szczędził ani kapo, ani SS-man czy blokowy. Powstawały liczne wrota zakażenia, duże krwiaki, a organizm osłabiony nie miał żadnej odporności. Występowały tak rozległe ropienia, że takich spraw nie widywało się na wolności. Stosowaliśmy wczesne nacinanie, sączkowanie i szynowanie. Mieliśmy szyny Volkmana i Brauna. Gipsu mieliśmy też pod dostatkim, zresztą w obozie stale trwała budowa i gips

nie był problemem. Tak samo można było łatwo uzyskać materiał drewniany do tych celów.

Wskutek odbiałczenia stroju występowały znaczne obrzęki. Powodowały je te olbrzymie ubytki elektrolitowe. Obrzęki sięgały czasami uda, pośladków, podbrzusza i moszny. Często występowała groźna nekroza skóry moszny, palców stóp lub nawet całych kończyn. Przekonaliśmy się, że jak najwcześniejsza skaryfikacja skóry obrzękniętej okolicy powodowała przeciek wody i szybkie cofanie się obrzęków, inaczej dochodziło do olbrzymiego ropienia. Oczywiście, odbywało się to pod groźbą zainfekowania i zropienia, a materiału sterylnego wówczas nie posiadaliśmy. Przebiegi chorób w tych warunkach ekstremalnych były zaskakująco nieprawidłowe. Czasem występowały zakażenia o piorunującym przebiegu. Były trzy rodzaje takich rzadkich piorunujących infekcji, spotykanych wówczas, a mianowicie: ropowica dna jamy ustnej (Grundmundbodenphlegmone), ropowica, a właściwie gangrena ścian jamy ustnej (noma) i ropowica klatki piersiowej (Brustphlegmone). Nigdy potem nie spotykałem takich potwornych infekcji, o tak piorunującym przebiegu. Nie pamiętam też ani jednego wyleczonego przypadku, a było ich co najmniej kilkanaście. Występował gwałtowny deskowaty duszący obrzęk dna jamy ustnej, przechodzący na szyję. Po nacięciach posokowaty wyciek, a po kilku godzinach wypadały całe płaty zgniłych mięśni i tkanek, i chory rzadko dożywał następnego dnia. Podejrzewaliśmy, podobnie jak przy nomie, ewentualne oparzenie jakimś preparatem chemicznym, na przykład przez zjedzenie jakiegoś przypadkowo znalezionego zepsutego produktu, ale nie mieliśmy dowodów. Z powodu Brustphlegmony straciliśmy, na wiosnę 1941 roku, naszego dobrego kąpielowego i pracza Ryszarda Kwokę. Twierdził, że na skutek pracowania doznał bólów klatki piersiowej. W ciągu 2-3 godzin wystąpiła gorączka i dreszcze oraz twardy jak deska obrzęk mięśni piersiowych. Mimo natychmiastowych nacięć, eubazyny i prontosilu oraz cardiaków, straciliśmy go w ciągu jednej doby. Był bardzo lubiany. Wielu kolegów płakało po nim, Gąsiorowski chodził załamany. W późniejszych okresach obozowych już się z takimi przypadkami nie spotkałem.

Wiele drobnych infekcji, jak np. zastrzały, odmrożenia oraz drobne urazy, jak np. zmiażdżenia kończyły się częściową lub całkowitą amputacją palców. Te sprawy zawsze trafiały za późno do lekarza. Najgorzej, że nie zawsze dla tych niby drobnych spraw wystarczało środków znieczulających. Chlorku etylu było zawsze za mało, a nowokainę otrzymywaliśmy bardzo rzadko. Wiele trzeba było załatwiać po prostu bez znieczulenia. Najgorzej, że dla tych spraw brakowało łóżek. Z braku miejsca ludzie ci wracali na bloki, do tzw. lekkiej pracy. To zależało jednak od „ludzkości” blokowych. Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że te przypadki ambulatoryjne leczyły się lepiej i szybciej od pozostawionych na oddziale, gdzie z reguły następowało zropienie. Problemem były owrzodzenia podudzi. To były sprawy z reguły na skutek bicia,

a zwłaszcza kopania. Skaleczenie skóry podudzi, i tak już z reguły źle ukrwionej, powodowało bardzo trudno gojące się owrzodzenia. Sam od pierwszego dnia obozu aż do oswobodzenia, przez pełnych 5 lat, cierpiałem z powodu takiego owrzodzenia prawego podudzia, po uderzeniu kolbą karabinową. Do nas na oddział dochodziły przypadki już tak beznadziejne, z olbrzymimi ubytkami skóry i tkanek oraz odsłonięciem i martwicą kości, że nie wiadomo było co robić. Pamiętam ojca mego kolegi gimnazjalnego, mgr. Witolda Fuska (nr 18699) z Biecza. Przybył on do obozu w Oświęcimiu w lipcu 1941 r. Na skutek pobicia doznał okaleczenia podudzia, co zmieniło się w olbrzymie owrzodzenie o średnicy co najmniej 10 cm. Do rewiru przybył już w sierpniu. Trafił na oddział swego dobrego znajomego dr. Türschmieda z Tarnowa. Był leczony bardzo starannie. Nie był jeszcze stary, miał dopiero 56 lat. Rana nie goiła się, potem załamał się stan psychiczny, załamał się stan fizyczny i chory zmarł 6 grudnia tego samego roku. Po prostu zasnął i nie zbudził się więcej.

Zakażenie i ropienie ran było zjawiskiem prawie codziennym. Tak rozległych ropowic nie widziałem jednak nigdy w życiu. Z powodu braku materiałów nie zmienialiśmy zbyt często opatrunków. W ranach załęgły się robaki. Początkowo było to dla mnie zjawiskiem szokującym. Doświadczony jednak dr Türschmied pamiętał takie zjawiska jeszcze z I wojny światowej. Uspokajał mnie mówiąc, zobaczysz, że to się będzie ślicznie goić. I rzeczywiście rany te oczyszczały się bardzo szybko i prędko goiły, szybciej od innych.

Pobicia były najczęstszą przyczyną ropowic. Także i każde „urzędowe” wymierzanie kary chłosty kończyło się zazwyczaj rozległymi ranami. Pamiętam przypadek związany z pierwszą ucieczką obozową. W pewną letnią niedzielę w 1940 roku – mnie jeszcze wtedy w obozie nie było – uciekł więzień, który nazywał się Jan Wiejowski. Nikt go nie znał, nikt o nim nie mógł nic powiedzieć. 24-godzinna stójka powaliła połowę obozu z nóg. Komendant ogłosił, że gdyby ktokolwiek, cokolwiek o więźniu mógł powiedzieć otrzyma chleb, kielbasę i 10 marek nagrody. Jeden głodny polakomił się. Nie mógł nic więcej powiedzieć, jak tylko tyle, że uciekinier spał raz koło niego na sienniku, a był niedużym brunetem. Prawdopodobnie nigdy go nie znał. Bito go w bunkrze i wtedy ratując się, wysunął przypuszczenie, że pewnie cywile pomogli w ucieczce, bo cywile pomagają. On sam widział, jak raz cywil podał chleb więźniowi. Zgromadzono wszystkich cywilów i wlekli półżywego już biedaka, aby wskazał tego litościwego cywila. Wskazał pierwszego z brzegu. Był nim niejaki Bolesław Bicz, przedtem polski urzędnik pocztowy z Oświęcimia. Więzień umarł w bunkrze. Jego, tzn. Bicza, trzymano prawie pół roku w bunkrze, w śledztwie. Wreszcie skazano go na 100 kijów chłosty, po 25 razów na jedno posiedzenie i dożywotni pobyt w obozie koncentracyjnym. Pierwszy raz bito go na placu apelowym wczesną wiosną, może w lutym lub marcu 1941 roku. Bito szczególnie mocno – pokazowo. Przywleczono go do nas bezpośrednio po biciu półżywego. Pośladki miał poszatkowane jak kotlety, na

przeźreni wielkości talerzy. Trzy miesiące leżał na brzuchu na sali nr 3. Po 3 czy 4 miesiącach, jeszcze nie wygojonego, bito drugi raz. Przyniesiono go w ekstremalnym szoku. Przez 3 dni był nieprzytomny. Wytrzymał. Kiedy po kilku tygodniach był nieco podgojony, wysłano go z transportem do Buchenwaldu. Przetrzymał obozy, wrócił do kraju. Ja go już więcej nie spotkałem.

W okresie pierwszej oświęcimskiej zimy 1940/41 było bardzo dużo zapaleń płuc i opłucnej. Zejściem tych spraw w obozie były często ropniaki opłucnej. Trzeba było resekować żebra i drenować. W pewnym okresie operowaliśmy je prawie codziennie, czasem po kilku w jeden dzień. Niewielu jednak z nich wyzdrowiało. Ale i tych kilku w inny sposób nie miało szans. Były trudności z materiałem, z rurkami gumowymi na dreniki i nawet z butelkami do urządzeń syfonowych.

Dużo trudności przysparzały nam też złamania. Było ich w obozie dużo. Drobne złamania, zwłaszcza palców, po nastawieniu odsyłaliśmy w opatrunkach gipsowych do leczenia ambulatoryjnego i do lekkiej pracy na blokach. Inne trzeba było hospitalizować. Bardzo często zdarzały się złamania obu kości przedramienia, jako następstwo typowego odruchu obronnego przed biciem. Blokowi zawsze twierdzili, że więzień sam sobie jest winien, bo się złośliwie zasłaniał. Są to złamania trudne do nastawienia bez pomocy rentgenowskiej. Trzeba było nastawiać wyłącznie na wycucie i gipsować z niefachowymi pomocnikami. Typowych złamań nadgarstka nie było wiele. Dużo natomiast było uszkodzeń kostek. Było to proste następstwo pracy w drewnianych holenderkach. Przy pracy w błocie każde poślizgnięcie powodowało uszkodzenie stawu skokowego. Złamania obojczyków, żeber i kości ramion w obozie były wyłącznie na skutek bicia. Złamania kości ramiennej przysparzały w warunkach obozowych wiele trudności. Trzeba było kombinować z drutu szyny odprowadzające. Posiadaliśmy kilka szyn Middeldorfa, ale nie zdawały one egzaminu. Wykonanie doraźne dopasowanego opatrunku odprowadzającego, wzmocnionego gipsem z dodatkowym wyciągiem, gwarantowało dobre i szybsze wyleczenie. Takich chorych z „wiatracznymi” gipsami płaćto się wielu w naszym oddziale. Złamań kości podudzi pamiętam z tych czasów kilka, złamań kości udowych z Oświęcimia nie pamiętam. Chorzy z poważniejszymi złamaniami na ogół nie rozpaczali. Mieli oni przed sobą perspektywę dłuższego leczenia. Potem byli już oni sami wyszkoleni w pracy sanitarnej, „przyczajali” się trochę w szpitalu lub też zdobywali gdzieś lepszą pracę. Problemem były wówczas same opatrunki gipsowe. Pod gipsem miały swe siedlisko wszy i legły się tam w przerażających ilościach. Zakładaliśmy wobec tego gipsy bez podkładu z waty. Niewiele to pomagało. Gryzienie przez wszy nie jest jednak przyjemne. Nasi chorzy sporządzali sobie długie kijki, którymi „zochrali” się pod gipsem. Skutek tego był fatalny. Po zdjęciu gipsu właściwie nie było skóry, była tylko olbrzymia rana nie wiadomo, czy od kijka, czy wygryziona przez wszy. Pamiętam także z tych czasów kilka połamania

szczęk; niektóre nawet dwustronne. Czasem wzmacnialiśmy szynami drucianymi wiązanymi do zębów, jednak drutu było mało. Dlatego najczęstszym opatrunkiem była porządna elastyczna lub płócienna uździenica. Zakładaliśmy nawet uździenice gipsowe, z doskonałym rezultatem. Jedzenie obozowe było właściwie tak płynne, że nie musiało się gryźć przez 2 do 3 tygodni.

Najgorsza sprawa była z leczeniem Żydów. Tych wolno było leczyć wyłącznie ambulatoryjnie i to dopiero wtedy, gdy blokowy czy blockführer pozwolił go doprowadzić. Nam nie wolno było chodzić do bloku kompanii karnej. Wtedy wszyscy Żydzi przebywali wyłącznie w kompanii karnej. W żadnym przypadku nie wolno było Żyda przyjąć do szpitala. Mieli wprawdzie w bloku 13 jakąś salę, gdzie mogli przebywać ci, którzy nie byli zdolni wychodzić do apelu, ale tam ich jeszcze przed następnym apelem zabijano. Pamiętam z tej pierwszej zimy następujący przypadek. Blockführer sam przyprowadził do opatrunku Żyda nazwiskiem Immerglück. Pochodził z okolic Tarnowa lub z samego Tarnowa. Według opowiadania SS-mana, Żyd źle pracował, więc trzeba go było skarcić. Ale Żyd „złośliwie” zasłaniał się rękami, więc połamał mu łopatą oba przedramiona. Obustronnie obie kości. Po trudnym nastawieniu i zagipsowaniu chorego, od podstawy palców do stawów barkowych obustronnie, z rękami na temblakach, zabrano Żyda z powrotem do pracy. Tam go znów bito aż do śmierci. Po apelu wieczornym przyniesiono zwłoki z połamanymi gipsami. To był Oświęcim! A SS-man, który to uczynił był pięknym i młodym chłopaczkiem. Wyglądał jak cherubinek!

Poza normalną pracą na salach chorych i przy operacjach, pełniliśmy także po kolei dyżury nocne. Wpadało to co trzecią noc lub trzy noce pod rząd, a potem 6 odpoczynku. W dniach dyżurów nocnych zwalniano jedynie z pracy na sali zabiegowej.

Poza tym, z braku dostatecznej liczby lekarzy, często wypadały dyżury przy Zugangach w Baderaumie. Z polecenia lekarza niemieckiego, tam w kąpieli przeprowadzało się badanie lekarskie nowo przybyłych. Oczywiście, to badanie przy wrzasku i krzyku niczego nie dawało, jednak wtedy rewir zakładał własne kartoteki o stanie zdrowia. Tam musiało być dokładnie odnotowane na co i kiedy więzień chorował, na co się skarży, jakie ma braki i wady. Miało to ułatwić dobranie odpowiedniego meldunku po zgonie. Przy okazji zapisywano się też złote zęby i mostki. Dla zwyczaju przykładano się czasem i słuchawkę, żeby móc zamienić kilka słów z nowo przybyłym. Czasem spotykało się kogoś znajomego. Do większego transportu szło nas nawet kilku. W Baderaumie odbywało się z zasady „szkolenie” nowo przybyłych. Czasem były sadyistyczne pokazy bicia. Specjalnie szykanowani byli Żydzi. Obserwowałem raz Żyda z dużą obustronną przepukliną mosznową. Widok ten „rozradował” dyżurnego SS-mana. Ustawił Żyda na baczność, a potem niespodziewanie kopał go w worek przepuklinowy. Okolica specjalnie czuła i wstrząsiorodna, nic więc dziwnego, że Żyd padał na ziemię. Cucił go wlewając mu do ust wodę z węża

gumowego, i w ten sposób zalewał go wodą, topiąc go na widoku publicznym. Po kilkunastu minutach, dobrze jeszcze odżywionego człowieka powleczono w stanie ekstremalnym do karnej kompanii.

25 lutego 1941 roku długo czekałem w Baderaumie na nowy transport 290 ludzi z Radomia. Tymczasem ludzie ci czekali na lagerstrasse przed blokiem 10 i 14. Przyszedł lagerführer Seidler i odczytał im postanowienie, że za zabicie niemieckiego policjanta w Radomiu co dziesiąty będzie rozstrzelany. Zabrano z przodu 25 czy 29 po kolei i zaprowadzono na podwórze karnej kompanii. Potem poszedł tam pluton egzekucyjny w hełmach i słychać było salwy. Był to jedyny znany mi przypadek rozstrzeliwania w ten sposób pod ścianą śmierci. Nie ma nic o tym w kalendarzu wydarzeń Oświęcimia. Cały ten transport był szczególnie szykanowany przy przyjęciu. Transport ten w całości został na trzy miesiące wcielony do SK i w całości otrzymał zielone trójkąty. Był to jedyny przypadek w Oświęcimiu. Z tego transportu, za staraniem Bocka, zabrano do rewiru trzech ludzi, a mianowicie dr. Witkowskiego, dyrektora szpitala w Radomiu (nr 10561), dr. Józefa Gałkę (nr 10611) i jego brata Władysława (nr 10557), młodego weterynarza. Przez całe trzy miesiące byli w szpitalu, a poszli do SK jeden dzień przed zwolnieniem na lagier. Wtedy zmieniono im winkle. Reszta tego transportu wyginęła w karnej kompanii. Zresztą i ci trzej zginęli z wyroku w 1942 roku.

Materiału opatrunkowego w rewirze było bardzo mało. Zaopatrzenie było złe. Materiału sterylnego nie otrzymywaliśmy w ogóle. Zamiast gazy otrzymywaliśmy długie wałki muślinu. Cięliśmy to na kawałki i sporządzali odpowiednie gaziki, które niestety z braku możliwości nie były sterylizowane. Część materiału jedynie moczyliśmy w roztworach riwanolu i używali go na tamponiki, setony i do nakrywania ran. Waty i ligniny było bardzo mało, stąd chorzy dosłownie pływali w ropie. Jako opaski służyły wyłącznie tzw. papierbindy, tj. opaski papierowe, ale i tego było za mało w stosunku do potrzeb. Stosowaliśmy więc papier toaletowy. Był on jednak przez oszczędnych a wynalazczych Niemców podziurkowany co 10 cm, więc się rwał. Trzeba było taki opatrunek wzmacniać nitkami lub sznurkami. Aby je zdobyć nasi chorzy każdą szmatkę rozbierali na nitki i kręcili taki sznurkowy materiał opatrunkowy.

Z lekarstwami od początku było bardzo źle. Rany przepłukiwaliśmy najczęściej robionymi na poczekaniu roztworami soli kuchennej. Wody utlenionej, benzyny i spirytusu denaturowanego dostawaliśmy mikroskopijne ilości. W naszym laboratorium Gonokok z Prontosilem przyrządzali nam roztwory riwanolu, płyn Dakina oraz sól fizjologiczną i glukozę 5, 10 i 20% do zastrzyków dożylnych. Trzeba przyznać, że robili to rzetelnie i nigdy nie spotkałem się z odczynami pirogennymi. Poza tym sporządzali oni jeszcze herbaty ziołowe i różne mikstury wykrztuśne i nasercowe. Leków było niewiele: aspiryna, piramidon, codeina, tabletki przeciwbólowe, wykrztuśne (mixt. solvens), prontosil, tanalbina, carbo, soda oczyszczona, sól gorzka, mixt. cardiacae, car-

diamid, cardiasol, coffeina, sympatol, maść ichtiolowa, tranowa, borna, cynkowa, przeciwświerzbowa, cuprex, lizol i carbol. Z zasypek można było otrzymać tylko talk i dermatol. Na leki wypisywało się codziennie zapotrzebowanie apteczne, które przedstawiało się starszemu rewiru Bockowi. On, zależnie od humoru i osoby, skreślał co najmniej połowę i podpisywał. Resztę można było otrzymać u Mariana Tolińskiego, jeśli posiadał. W sali zabiegowej był jeden zestaw strzykawek do wspólnego użytkowania przez cały oddział. Wspólnie też dla całego oddziału posiadaliśmy jeden komplet budek elektrycznych (Heisskiste), poza tym był jeszcze jeden komplet baniek, które też stale były w użytkowaniu. Trzeba przyznać, że te znane stare sposoby fizykomedyczne miały wielu zwolenników.

Sprawy zdrowia, leczenia, śmiertelności nie były jednak tak wyeksponowane w obozowych rewirach, jak sprawy zewnętrznej czystości i dezynfekcji oraz wietrzenia. Sprawy te, skądinąd słuszne, w obozach były tak wyeksponowane, że stawały się nową szykaną i udręką dla chorych. Ciężko chorzy, z zapaleniem płuc, gorączkujący, leżeli stale w lizolowym lub karbolowym smrodzie, przy stale otwartych oknach i wiecznym przeciągu.

Wyżywienie chorych w 1940 r. było gorsze, ponieważ chorzy otrzymywali mniej chleba, czasem tylko połowę tego, co na blokach, oraz rzadziej i mniejsze dodatki margaryny, smalcu, marmolady, sera czy końskiej kielbasy, zamiast po 50 g tylko po 25 g. W pierwszych miesiącach 1941 roku te różnice zniesiono.

Na początku 1941 r. problemem numer 1 stała się sprawa zawszenia, tym bardziej, że groził tyfus plamisty. Zawszenie było przerażające. Koce i bielizna chorych roily się od wszy. Nie pomagało stałe iskanie i wybijanie insektów w bieliźnie i kocach. Wszyscy sanitariusze, po służbie lub w każdej wolnej chwili, robili to samo u siebie. Miałem wówczas bardzo podły koc. Wiadomo, ostatni otrzymuje najgorsze. Będąc w magazynie, zobaczyłem z daleka jakiś ładny koc. Powiadam do Czesia Sowula: Czesio, wymień koledze, mam taki lichy. Podejrzanie szybko się zgodził. Podchodzę oglądnąć towar, a koc dosłownie roi się od wszy. Wydaje się, jakby się ruszał i dostał brzoskwinowego połysku.

Dopiero po zakończeniu nadbudowy bloków 14, 15, 16, w czerwcu lub maju 1941 roku nastąpiło generalne odwyszawianie. Blok 14a, na piętrze, stał się blokiem przejściowym. Codziennie inny blok przechodził odwyszawianie. Uszczelniano papierem okna i drzwi. Koce rozwieszano na łózkach, a ubrania i bieliznę rozkładano na wierzchu i na podłodze. Następnie w bloku zapalano jakieś preparaty cuchnące siarką i drzwi zamykano na 12 godzin. Wszyscy ludzie jedną noc przebywali w bloku 14a, bez odzieży i bielizny. Tam przechodzili strzyżenie i golenie, a następnego dnia po kąpieli wracali do swego bloku. Rewir przechodził to na samym końcu.

Równocześnie, po nadbudowie bloków, nastąpiło przemieszczenie chorych. Nadbudowane bloki nie posiadały na piętrze korytarzy ani sal. Były jedynie

po dwie duże hale, każda wielkości połowy budynku. Trzeba przyznać, że były one nieco pakowniejsze i lepsze na warunki więzienne, ale wprowadzały też wiele czynników ujemnych – wieczny hałas, nerwowość, brak spokoju dla chorego. W bloku 14 pozostały tylko biegunki i szonungowcy, w bloku 15 pomieszczono allgemeine Körperschwäche i choroby zakaźne. Gruźlicę przeniesiono na połowę bloku 16a. Brudną chirurgię przeniesiono do drugiej, południowej strony bloku 16a, a w bloku 16, na dole, zaczęto przygotowania do stworzenia oddziału czystej chirurgii. Nie było jeszcze dostatecznego wyposażenia. Niemniej już w sierpniu 1941 r. rozpoczęto operować. Operowali wówczas, pod ręką dr. Deringa, młodzi lagerarzteci, jak Schmits (był krótko), Jung i Schwella. Wykonywano przeważnie appendectomie i cholecystektomie. Do zabiegów wybierano ochotników, którym obiecywano dłuższy pobyt w szpitalu i odjedzenie się. Salę sanitariuszy, gdzie mieszkaliśmy prawie wszyscy razem, zlikwidowano, nas porozdzielano na poszczególne sale chorych. Stomatologia pozostała na własnym miejscu. Blokowym naszego bloku został Alfred Stesel (nr 453), podobno były oficer artylerii z Włodzimierza. Był on o wiele gorszy od Bocka i nieraz dał się nam we znaki. Na górze mieliśmy około 350 do 400 miejsc, w trzyetazowych łózkach.

Do pracy w tym oddziale przyjęto dr. Türschmieda z Tarnowa (nr 11461), byłego dyrektora szpitala i doskonałego chirurga. Był on już dwa miesiące w obozie i pracował na Bauhoffie pod „patronatem” inż. Plaskury z Mościc. Pamiętam go, kiedy przyszedł do szpitala. Staruszek płakał ze wzruszenia. Jakoś to inaczej, mówił, znosić ten obóz przy pracy w swoim zawodzie. Pozostałem jego zastępcą, ponieważ nie był jeszcze zorientowany w stosunkach ani nie był jeszcze obyty z warunkami obozowymi, które przecież pozostały bardzo ciężkie. Poza tym przyjęto do nas do pracy jeszcze lekarzy: Szczepana Kruczka, Juliana Kozioła, Wronę-Merskiego i Jana Rogackiego.

Dla zachowania w dużej sali jakiegoś intymniejszego miejsca do badania chorych i do zabiegów, ze wszystkich możliwych do zdobycia szafek wojskowych oddzieliliśmy w kącie sali, od strony bloku karnej kompanii, tzw. kąta zabiegowy. Wejście, szerokości około metra, znajdowało się od strony środkowego przejścia do sali i było przesłonięte zawieszonym kocem. Wokoło były szafki. Pomieszczenia i przegrody w nich zostały wykorzystane na leki, materiały opatrunkowe itp. Tam był stół opatrunkowy i zabiegowy, i cały nasz sprzęt i wyposażenie. Wokoło ustawiliśmy nasze, tzw. Pflegerskie, łóżka, aby być równocześnie stróżami naszego wyposażenia medycznego i aptecznego. Dwa okna, wychodzące z tego kąta w kierunku bloku karnej kompanii, zostały zamalowane na biało i zasadniczo zabroniono je otwierać. W jednej z kwater okiennych szkło było utracone i zalepialiśmy ten brak papierkiem. Pracą podzieliliśmy się na zasadzie rejonów łózkowych, jak przedtem salami. Zakres prac był ten sam, ludzi do pracy więcej.

Ponieważ miejsc w szpitalu było ciągle za mało, w lipcu i sierpniu 1941 okresowo oddano blok 12 (późniejszy 10) na szonung dla chorych. Chodzili-

śmy tam codziennie, aby zmieniać opatrunki. Pewnego dnia, a było to już chyba w sierpniu, po apelu u nas, a to odbywało się wcześniej niż na placu, poszedłem jeszcze tam skończyć opatrunki. Tam mnie zaskoczył apel na placu i już nie mogłem wrócić do własnego bloku. Poszedłem na papierosa do waszraumu. Okno było uchylone dla wietrzenia. Pozostałe okna tego bloku były już wtedy zacięzione drewnianymi koszami. Na plac egzekucyjny wprowadzono około 15 więźniów. Przyszli SS-mani i kapowie i zaczęło się straszliwe bicie. Bito pałkami i bykowcami, obalano, skakano nogami i kopano, po kolei. Ktoś z podwórza zaczął krzyczeć o zamknięcie okna. Wyczołgałem się w strachu po podłodze i uciekłem na swój blok. Wtedy, za jednego uciekiniera, apel się tak znacznie przedłużył i wybrano z tego samego bloku 15 więźniów do bunkra na śmierć. Zawsze mam ten obraz w pamięci.

W czasie mojej pracy w szpitalu więziennym wiele zmian zachodziło w obozie, na lepsze i na gorsze. Okres świąt Bożego Narodzenia 1940 r. przyniósł jakby pewne odprężenie psychiczne i pewne okrzepnięcie duchowe. Krótco przed świętami ogłoszono, że wolno przysyłać z domu 1-kilogramowe paczki żywnościowe oraz ciepłe swetry i bieliznę. Nie wiem, jak doszło to do wiadomości rodzin, ale już po dwóch dniach pojawiło się wiele małych paczek żywnościowych i zazdrościliśmy szczęśliwcom, których rodziny dowiedziały się tak szybko. Wtajemniczeni już wówczas twierdzili, że paczki są identyczne i tym samym charakterem pisma adresowane, zatem muszą być wysyłane przez jakąś instytucję. Jedni mówili o RGO, inni o Episkopacie Krakowskim. Dziś wiemy, że rzeczywiście tak było. Paczki te były od ks. Arcybiskupa Sapiechy. Paczki domowe zaczęły nadchodzić dopiero po świętach, były bardzo duże, więc je okrawano. Ja wtedy paczki nie dostałem. Na domiar złego 21 grudnia miałem przykry sen: Śniło mi się, że byłem jeszcze w gimnazjum. Pod szkołę przyszedł mój ojciec w myśliwskim stroju, z dubeltówką, powiedział, że wychodzi daleko na polowanie i musi się pożegnać. Wycalował mnie i poszedł, a ja zbudziłem się w środku nocy, zlany zimnym potem, z przeświadczeniem, że w tej chwili zmarł mój ojciec. Był on nieuleczalnie chory. Tak było faktycznie. Niedługo potem otrzymałem list, że rzeczywiście tej nocy zmarł mój ojciec. Nie śnił on mi się już nigdy w życiu.

W Wigilię pracowaliśmy normalnie. W pierwszy dzień świąt był dzień wolny od pracy. W bloku 20, za zezwoleniem lagerarza, pod kierownictwem Czesia Sowuła, urządzono takie małe jasełka. Zaczęło się wszystko od niemieckiej kolędy „Stille Nacht, heilige Nacht”. Potem była mała inscenizacja jasełek, potem śpiewano wiele polskich kolęd. Ludzie płakali. Było to pierwsze polskie kulturalne spotkanie więźniów. Głównymi aktorami i śpiewakami byli dwaj muzułmani już wówczas – Zbyszko Sawan i Wysocki z chóru Dana. Trzy dni później, w niedzielę, powtórzono to w skrócie i wtedy w duecie zaśpiewali po raz pierwszy, dziś ogólnie znaną, piosenkę o Oświęcimiu:

*W Auschwitz lager, gdzie mieszkałem
Kraft durch Frude zrozumiałem
Stój bracie rano, wieczór stój
i w południe stój jak ch...*

*Stoi komin murowany
Ale my go wykiwamy
Stój bracie... itd.*

*Häftling chory jest pod pieczę
W Krankenbale go wyleczą
Stój bracie... itd.*

Potem do tej piosenki dorabiano wiele nowych zwrotek. Dwaj pieśniarze zdobyli kolosalną popularność. Otrzymali lekką pracę, a już był ostatni dzwonek, obaj byli już bardzo wyniszczeni. Zostali zamiataczami alei brzozonej między blokami, zaczynając od karnej kompanii, aż do dawnego placu, a ogrodzeniem obozu (Birkenalee). Potem, co pewien czas, urządzano w niedzielę podobne spotkania kulturalne w bloku 20 (28), ale raczej do użytku wewnętrznego, bez gości z zewnątrz.

Od wczesnej wiosny odsyłano co pewien czas transporty więźniów, liczące nieraz po kilkaset osób, rzekomo do innych obozów. Przeważnie mówiono nam, że transporty te jadą na leczenie do Dachau. Mówiono, że tam jakoby księża i ludzie starsi nie pracują, że odbywają się nabożeństwa itd. Co do pracy, to słyszałem już przedtem od profesora Szumowskiego, że w Dachau nie pracowali, ale wychodzili na długie apele, a co do leczenia, to przecież opowiadał mi, jak profesor Kostanecki zmarł z braku jakiegokolwiek leczenia. Zatem, jak zwykle, coś tu się nie zgadza. Wyjeżdżającym wydawano czystą bieliznę, odzież i jedzenie na drogę, chleb i konserwy. Odjazdy następowały w wagonach bydłowych lub czasem osobowych starego typu. Był jednak transport jeden, który dał mi wiele do myślenia. To było jeszcze przed przeniesieniem oddziału naszego na pierwsze piętro, a więc najpóźniej w maju 1941 r., już pod wieczór. Odnosiłem wówczas chorego z mojej sali do transportu, na rampę obozową. Nie zdążyliśmy jeszcze zdjąć go z noszy, kiedy powstało jakieś zamieszanie i SS-mani wypędzili nas z wagonu. Nic nie pomogło opowiadanie o noszach. Pod eskortą SS-manów doprowadzono, skutych razem, dwóch największych wówczas prominentów i równocześnie bandytów Siggruda i Krankenmanna, i mocno ich potracając i pokopując wsadzili do wagonu i sami też wsiedli. Myśmy odeszli, pociąg jeszcze pozostał na rampie. Nie wiem, co się dalej stało. Siggrud podobno był inżynierem. Był jednoręki. W obozie przebywał za przestępstwa pospolite, bevauer. Był silny i wysportowany i potrafił jednym uderzeniem swej lewej ręki zabić więźnia na miejscu. Do SS-

manów odnosił się szorstko. Był zawsze oberkapo od nowych budów. Mówiono nawet, że był hrabią, i nazywano go hrabia Sigrud. Krankenmann był niezwykle bandytą i sadystą. W Oświęcimiu zamordował chyba tysiące ludzi w SK i przy swoim słynnym walcu. Całkowity degenerat mordujący z przyjemności, po prostu dla mordowania. Człowiek, który przechodząc, budził przerażenie...

Po powrocie zawołał mnie Bock do siebie, pytając co tam się stało. Opowiedziałem, co widziałem. Byli to przecież jego koledzy jeszcze z Sachsenhausen. Zapytałem więc, dokąd oni pojechali. Ach, Mensch denke doch! Dass ist doch alles Himmelfartskommando! Nie powiedziałem mu jednak nic o noszach, bo był bardzo rozdrażniony. Po prostu bałem się. Zagubienie takiej własności mogło kosztować nawet karną kompanię. Miałem nadzieję, że uda się gdzieś odkraść nosze i szybko przemaalować znakowanie. Każda sala miała jedną parę. Tymczasem po paru dniach nosze wróciły przesyłką kolejową i musiałem je sobie odebrać na bramie. Miały wymalowany napis, jak wszystkie inne nasze nosze i sprzęty: K.L. Auschwitz. H.K.Bau. Stube 5. Block 16, a do rączki przyczepiony był drutem adres nadawczy, na kartoniku, wykonany maszynowo z naszym adresem i adresem wysyłającego. Heilanstalt Bernburg b.d.Halle. Oddałem to Bockowi, który też długo nad tym się zastanawiał. Nikt z nas jeszcze nie wiedział nic o zakładach eutanazyjnych w Niemczech. Ten napis zapamiętałem, i dopiero po wojnie, kiedy o zakładach eutanazyjnych przeczytałem w prasie, w relacjach z procesu norymberskiego, dowiedziałem się, że w Bernburgu był też taki zakład. Nie wiem skąd wzięła się nazwa Sonnenschein w publikacjach innych kolegów.

Na ogół wiadomości ze świata przeciekały jakoś do Oświęcimia. Bywając często przy przyjęciach Zugangów w Baderaumie poznałem i zaprzyjaźniłem się z Bernardem Swierczyńą z Mysłowic, pracował on razem z Popiołkiem, red. Polonii, w Effektenkammer. Miał na co dzień kontakt z nowymi przybyszami do obozu. Niektórzy z nich jeszcze przed kilkoma dniami byli na wolności i mieli aktualne wiadomości ze świata. Przychodził do nas często do szpitala i przejawiał nadmierną ciekawość w sprawach szpitalnych. Na tej podstawie byłem przekonany, że Bernard musi mieć także możliwości przekazywania wiadomości na zewnątrz. Nie pytałem nigdy, nie wolno o takie rzeczy pytać w takich warunkach. Dobre wiadomości posiadał też dr Gąsiorowski. Po nocach wysłuchiwał u Bocka wiadomości radiowych. Podobno najlepsze wiadomości podawała jakaś niemiecka stacja, nadająca pod kryptonimem Freies Deutschland. Bock krył się z tym bardzo, przeczuwał jednak, że wiem o tym. Może zdradził się z tym Tadeusz, a może doszedł do tego sam. Pewnej nocy, kiedy Bock wyszedł na korytarz, a ja pełniłem nachtwachę, drzwi zostały uchylone i nagle zabrzmiał sygnał radiowy jakiejś stacji. Udałem, że nic nie słyszę i poszedłem dalej. Bock jednak od tego czasu bacznie mnie obserwował. Niedługo potem, ale było to już po zwolnieniu Gąsiorowskiego,

a więc już chyba w lipcu 1941, także podczas nocnej służby, Bock zaprosił mnie do siebie na pogaduszki. Miałem się na baczności, nigdy bowiem dotychczas nie dostąpiłem takiego zaszczytu. Zaczął rozmowę, wypytując o dom, o więzienie i o sprawy zawodowe. Potem wyjął małą płaską buteleczkę z kieszeni, tzw. piersiówkę, nalał jakiegoś płynu i chciał mnie poczęstować, mówiąc, że to jest spirytus. Grzecznie wtedy poprosiłem, żeby pił pierwszy. W Polsce jest bowiem taki zwyczaj, że gospodarz jak nie ma dość naczyń wypija najpierw sam, aby goście byli naocznie przekonani, że nie podaje im trucizny. Bock zmieszał się i powiedział tylko: „Bist du aber abgebrüd” i zlał płyn z powrotem do butelki. Ja odszedłem. Nie byłbym jednak przekonany o jego złych zamiarach, gdyby nie następny wypadek, który zakończył się źle. Była to śmierć Jana Rogackiego (nr ponad 9000), podającego się za pułkownika lekarza. Pracował w rewirze. Pewien czas, może około miesiąca, pracowaliśmy razem. Różnie o nim mówiono, wówczas nie słyszałem nic złego. Pracowałem już wtedy w rewirze jenieckiego obozu, na bloku 1. Późnym wieczorem przybiegł do nas (pracowałem tam z dr. J. Żegleniem) goniec Bocka, Adam Dembowski, każąc natychmiast, z polecenia Bocka, udać się spać na oddział chirurgiczny. Poszliśmy natychmiast. Po drodze, w bramie do ruskiego obozu, spotkaliśmy Bocka i Welscha. Szli na rosyjski obóz, prowadząc pod rękę Rogackiego. Rano wróciliśmy natychmiast po gongu do swojej pracy. U mnie zastałem Leichenträgerów Obojskiego i Teofila. Zdejmowali z mego łóżka zwłoki Rogackiego. Zapytałem, co się stało. Powiedzieli mi, że nic nie wiedzą. Bock kazał im zabrać zwłoki. Nie ma śladu po zastrzyku. Na stole stała płaska buteleczka Bocka. Była już wypłukana. Nic się nie czuło. Potem odebrał ją goniec Dembowski i pochwalił się, że to on wczoraj wykrył szpiega. Wracając wieczorem z SS-rewiru, dokąd odnosił Todesmeldunki, zauważył pod bramą Rogackiego. Domagał się on natychmiastowego widzenia z komendantem. Pobiegnął do rewiru, dał znać Bockowi, a ten natychmiast udał się szybko do bramy i odwołał Rogackiego. Nie mogłem nigdy dojść wyjaśnienia tej sprawy. Dr Tadeusz Paczuła pisał, że przed spodziewanym wyrokiem popełnił samobójstwo. To nie jest prawdą. Udział w tym dwóch starych lagrowców niemieckich, wydaje mi się być podejrzany. Dziwne sprawy działy się w obozach.

Atak Hitlera na Związek Radziecki, świtem w niedzielę 22 czerwca 1941 roku, był sygnałem wywoławczym, który wprowadził i rozszerzył w obozie koncentracyjnym Oświęcim urzędowo, już bez żadnych ogródek, zorganizowane ludobójstwo. Potem przekonałem się, że działo się tak równocześnie i w innych obozach koncentracyjnych, a więc sprawa musiała być odgórnie zarządzona i przygotowana.

Już następnego dnia, w poniedziałek, 23 czerwca, zabito w obozie wszystkich Żydów. Po rannym apelu Lagerkomendant Höss, z całą swą świtą, spotkał się przed kuchnią z blokowymi i kapo. O tym opowiedział nam Bock, kiedy wrócił. Zapytał ilu Żydów jest jeszcze w obozie. Blokowy karnej kom-

panii odpowiedział, że 176. Also bis Abendsappell will ich keine Jude mehr im Lager haben, zakończył komendant. Jeszcze przed południem nasi Leichenträgerzy, Genio Obojski i Teofil Banasiuk, przynieśli z SK zwłoki kilkunastu Żydów, którzy jako chorzy nie wyszli tego dnia do pracy. Do rewiru wtedy Żydów nie przyjmowano. Pozostałych Żydów zabijano na widoku publicznym, w tzw. Kiessgrube, gdzie tego dnia pracowała kompania karna. Z okien rewiru ówczesnego bloku 20 można było doskonale obserwować tę masakrę. Zabijano tam łopatami, kilofami, knyplami, pałkami, zadeptywano na śmierć. Widziałem jak zabijano pewnego Żyda atletę. Poprzedniego dnia spisywałem dla celów rewirowych jego kartotekę, Aufnahme Befund w Baderaumie przy przyjęciu. Był piekarzem z Radomia lub okolicy. Miał około 190 cm wzrostu i ważył około 120 kg. Nie było dla niego ubrania, w żadne się nie mieścił. Sprowadzono krawców z maszyną do szycia i materiałem z beli. Po dwóch godzinach nowy pasiak był gotów. Teraz nie mogli go dobić. Skrwa-wiony olbrzym wielokrotnie padał, podnosił się i znów upadał. Jeden z SS-manów kazał przytrzymać go na ziemi. Podjechały lory ze żwirem i zasypano go żywcem. Opowiadano potem, że podobno nie mieścił się w całości do pieca krematoryjnego, musieli go poćwiartować. Zwłoki zabitych w żwirowni Żydów nie dostarczono do Leichenhali, ale prosto do krematorium. Wieczorem nie żył już ani jeden Żyd w obozie. Według komendanta Hössa, winni byli wojnie ze Związkiem Radzieckim.

Jeden dzień później, w bloku 16 rozpoczęto szkoleniowe próbne zabijanie chorych. Około południa do sali zabiegowej bloku 16 przybyła grupka SS-manów, ze Standortsarzem i SDG Uhlmanem, zwanym Fajczarzem, oraz Bockiem. Pracujący tam z Sieniawskim więźniowie pouciekali. Potem zaprowadzono tam jakiegoś chorego, wezwano mnie i dr. Tadeusza Wójcika, mego kolegę. Pod drzwiami sali zabiegowej stał blokowy Peter Welsch (nr 3207), który mnie swego czasu przyjmował do rewiru. Trącił mnie w bok kułakiem i szepnął: Mensch tue das nicht! Nie wiedziałem o co chodzi. Wszedłem do środka i zacząłem się meldować. Nie wiedziałem nawet komu, bo byłem wystraszony. Ktoś podał mi do ręki strzykawkę rekord, poj. 20 cc, i jakiś oficer kazał mi zrobić zastrzyk dożylny. Trzęsąc się zapytałem, co to jest. Otrzymałem uderzenie w policzek i upuściłem strzykawkę na chorego. Dlatego się nie zbiła. Chory chciał wstawać. Ten sam oficer powiedział: Das ist ein richtiger Hasenfuss! Rausschmeisen ins Lager! Nie wiem kto i kiedy zabrał strzykawkę, ja dostałem kopniaka i wypadłem na korytarz. Szepnąłem jeszcze Tadcowski Wójcikowi: Nie daj się zrobić. Za chwilę i on wyleciał z podbitym okiem. Sprowadzono z bloku nr 20 więźnia sanitariusza z ambulatorium, Walentynowicza (nr 46). Ten podobno wykonał zastrzyk i chory zmarł. Czym wtedy zabijano nie wiem. Zgłosiłem się tego samego dnia do Bocka w sprawie zwolnienia. Kazał iść do pracy i od dzisiejszego dnia objąć nactwachę, żeby sprawa przycichła. Następnego dnia znów zabito tak samo jednego lub dwóch

chorych. Szeptano o tym między sanitariuszami. Głośno ludzie bali się na ten temat rozmawiać. Zastrzykiwano benzynę, denaturat, lizol, perhydrol i różne inne przynieszone przez SDG płyny, niewiadomego pochodzenia. Był to okres, kiedy właśnie przenieśliśmy się już z brudną chirurgią na górę, a na dole jeszcze czystego oddziału nie zorganizowano. Zlikwidowano także naszą sypialnię pielęgniarską na sali nr 6, ale łóżka jeszcze tam były. Do tej sali znoszono późnym wieczorem 5-6 chorych i po gongu zabijano ich w ten sam sposób. Wtedy już nie przychodził Lagerarzt, ale tylko dwaj SDG, Uhlman i Klehr, oraz kapo Bock i Walentynowicz. Miałem wtedy nactwachę i obserwowałem to wszystko z daleka. Nie wiem kto wykonywał zastrzyki. Wszystko znosił Walentynowicz na tacy, pod przykryciem z ligniny. Rano, zaraz po gongu, Leichenträgerzy wynosili zwłoki zamordowanych. Pewnego dnia jeden z nich, Banasiuk, odkrywając zwłoki, zapytał mnie, czy znam tego pana. Były to zwłoki wysokiego szpakowatego mężczyzny, o inteligentnym wyglądzie, nawet niezbyt wychudzonego. Odpowiedziałem, że przypomina mi kogoś, ale nie znam. Powiedział, że to jest były wojewoda krakowski, Kwaśniewski. Nie wiem jednak, czy to była prawda. Po paru dniach wszystko się nagle skończyło. Jeszcze po kilku dniach na oddział chirurgii przyszedł w ciągu dnia SDG i Walentynowicz i z polecenia SDG Uhlmana (Fajczarza) wykonano dwóm chorym jakieś zastrzyki, po których mieli wysoką gorączkę i silne dreszcze. Z polecenia dr. Türschmieda ratowaliśmy ich przez zawijanie w mokre prześcieradła. Obu odratowano. Potem wszystko się nagle skończyło. Podczas tych prób został zwolniony do domu dr Gąsiorowski. Stało się to nagle. Nikt nic nie wiedział. Wezwano go po apelu rannym na plac apelowy. Kto wiedział, pożegnał się z nim z daleka w Effektenkammer. Ja po nocnym dyżurze spałem.

Po około 3 tygodniach, na przełomie lipca i sierpnia, zabijanie chorych, już na skalę przemysłową, zaczęło się koło waszraumu w bloku 20 (późniejszym 28). Akcję tę zorganizował i prowadził SDG Klehr, mając pomocnika więźnia Pańszczyka. Przyprawiano tam po apelu wieczornym, wybranych podczas dnia, chorych z oddziałów lub nawet wybierano doraźnie spośród wieczornych arztvormelderów, i zabijano zastrzykami fenolu w serce po kilkanaście lub jeszcze więcej osób dziennie. Tak trwało do grudnia 1941. Dalejszych losów tej akcji nie znam już z autopsji, ponieważ wyjechałem do innego obozu.

3 lipca 1941 roku odbyła się w Kiessgrube, po apelu wieczornym, publiczna egzekucja dużej grupy więźniów, około 70 osób, pochodzących z transportów krakowskich z 5 kwietnia 1941 oraz z 5 i 29 czerwca 1941 roku, na mocy nadesłanego wyroku Gestapo. Była to jedyna w tych czasach publiczna egzekucja w Oświęcimiu z użyciem plutonu egzekucyjnego. Nie figuruje ona dotychczas, podobnie jak egzekucja z 25 lutego 1941, w kalendarzu obozowych wydarzeń. Ten fakt jest chyba w kalendarzu wydarzeń pomieszany z podanymi tam likwidowaniami w lipcu jeńców radzieckich w Kiessgrube, czego z blo-

ków rewirowych nie obserwowaliśmy w tym czasie i chronologicznie rzecz oceniając, byłoby to na jeńców radzieckich jeszcze za wcześnie. Wówczas, 3 lipca 1941, byli to przeważnie młodzi ludzie z Krakowa, ze szpitali, z Ubezpieczalni Społecznej i przedsiębiorstw miejskich. Tak się wówczas mówiło. Z moich kolegów uniwersyteckich zginął tam dr Andrzej Nikiel (nr 11330) i dr Witold Słota (nr 12028), ze swym ojcem Józefem (nr 17211), wszyscy z Krakowa. Skąd ta dokładna data? Oczywiście, zapamiętałem tylko, że był to lipiec. Po wojnie, inny mój kolega, prof. dr Leon Cholewa z Krakowa, opowiedział mi, że 3 lipca 1941 roku był jego ślub, w którym uczestniczyła matka kolegi Nikla. Po kilku dniach przyszła ona do niego i powiedziała, że z Gestapo otrzymała zawiadomienie, że właśnie w tym samym dniu, tj. 3 lipca, kiedy ona była na weselu, zmarł jej syn w Oświęcimiu. O rozstrzelaniu nie było mowy. Prawdopodobnie data ta jest ścisła. Odbywało się to w wykopie żwirowym, tuż za drutami, za rewirem, Baderaumem i Effektenkammer. Żwirownię obsiadały co najmniej 2 kompanie SS, wesoło się bawiąc i przygrywając na mundharmonijkach. Skazańcy stali w dwuszeregu od strony kuchni. Rozstrzelanie odbywało się po drugiej stronie, od strony rewiru, w dole. Z 20 bloku to obserwowałem. Skazańcy schodzili po 5 lub 6, wśród szpaleru SS-manów. Po drodze byli bici i kopani. Salw było 12.

Kolega dr Nikiel wiedział znacznie wcześniej, już od południa, że będzie rozstrzelany. Od maja był u mnie w stanie chorych i już pomagał mi w pracy. Wtedy właśnie, w południe tego dnia, staliśmy razem, rozmawiając. Podeszedł do mnie Bock, dał mi jakąś kartkę z numerem i powiedział, że ten więzień ma się stawić na plac apelowy, do wieczornego apelu. Powiedziałem, że zaraz odszukam i zapytałem jeszcze, po co? Wymownym gestem, przyłożeniem palca do głowy, pokazał, że na rozstrzelanie, i odszedł. Patrzyłem na kartkę i powiedziałem, że muszę odszukać ten numer. Nie potrzebujesz, powiedział Andrzej, to jest mój numer, 11330. Zapanowało trudne milczenie. Udałem się do kancelarii, wywołałem kolegę Czubaka, żeby się poradzić. Ja tego popołudnia nie miałem zmarłych. Trzeba by pilnie jakiegoś konającego przełożyć z innego oddziału. Andrzej był niedaleko, podeszedł i powiedział: Szkoda trudów, ja się ostatecznie i absolutnie nie zgadzam. Nie chcę potem ginąć za jakiegoś innego łapserdaka. To jest moja sprawa i sam to rozegram. Zaproponowałem ewentualnie zastrzyk morfiny. Popatrzył tylko na mnie z dezaprobatą i podeszedł do okna, patrząc niewidzącymi oczyma przez okno na lagier. Ja przygotowywałem oddział do apelu i ciągle się myliłem. Jeszcze podczas apelu przyszedł po niego jakiś SS-man. Kolega Nikiel opanowany i spokojny, jak zawsze zresztą, ścisnął tylko moją rękę i szepnął: Jeśli wrócisz, pozdrów kolegów. I poszedł. SS-man prowadził jakiegoś drugiego starszego człowieka z bloku 20. Tamten był bardzo osłabiony i co chwilę upadał. Szli ścieżką wzdłuż drutów poza blokami, w kierunku kuchni. Po chwili usłyszeliśmy strzał pistoletowy. Widocznie starszek nie mógł iść i SS-man zastrzelił go po drodze. Andrzej był

wysoki. Szedł w przedostatniej kolejce pod skarpe ژیwirową. Widać to było z korytarzowego okna 20 bloku rewirowego. Z boku stała rollwaga z Leichenträgerami, czekającymi na wywóz zwłok. Stał tam też Lagerarzt Schwella z SDG. Przy stwierdzaniu zgonu po każdej kolejce, zanim Leichenträgerzy odciągnęli zwłoki na bok, widać było jak kopnięciem buta odwracał głowę, aby oglądnąć i stwierdzić, że nie żyje. Był to ponury dzień w obozie.

30 lipca znów byłem przy Zugangach z Radomia. Ponad 300 ludzi. Spotkałem dwóch znajomych przedwojennych. Inżyniera Ottmara Kwiecińskiego, byłego dyrektora huty Ludwików (nr 19093) oraz byłego dyrektora Banku Rolnego z Kielc, magistra Jędrzejowskiego. Obaj bardzo pobici. Kwiecińskiego udało mi się na kilka dni przyjąć do rewiru prosto z transportu. Potem pracowali na Bauhoffie w Autoschlosserei. Często mnie odwiedzali. Nie zapomnę ich ostatnich odwiedzin, 16 grudnia, przed moim wyjazdem z Oświęcimia. Chcieli mi na drogę oddać swoje porcje chleba. Oni wygłodzeni! Czyż można zapomnieć takie zdarzenie?

Na przełomie lipca i sierpnia 1941 bloki parterowe po stronie prawej obozu były już nadbudowane. Na placu apelowym wykańczano cztery pierwsze bloki nowe i wybierano fundamenty pod dalsze. Nastąpiła zmiana numeracji bloków. Nie była ona jeszcze ostateczna. Dopiero w listopadzie nastąpiła zmiana ostateczna. Przy tej pierwszej zmianie bloki 14, 15, 16 otrzymały numerację 18, 19 i 20. Blok 20 został blokiem 28. Po drugiej stronie blok 7 był 21, a blok 8 nosił nową numerację dziwną. Na dole z jednej strony był blokiem 22, po drugiej stronie 23, cała góra nosiła numerację 23a. Nie było natomiast bloku 22a. Blok dawny 9 miał numer 24. Dziwną wydaje się ta sprawa i nie umiem wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Niemniej na potwierdzenie tej sprawy posiadam korespondencję własną z tego czasu. Ja nie zmieniałem przynależności bloku i po dawnym adresie zwrotnym bloku 16, do sierpnia 1941, występuje w mojej korespondencji aż do 5 października 1941 (ostatni list do matki z Oświęcimia) adres zwrotny – blok 20a. Aby potwierdzić, że nie jest to moja powtarzana pomyłka (listy zresztą okazywałem w Muzeum oświęcimskim) odsyłałem do książki zgonów z jenieckiego rosyjskiego obozu, gdzie aż do dnia 19 listopada 1941 figurują bloki 21, 21a, 22, 23 i 23a. Dopiero po tej dacie znika z tej książki numeracja bloku 21 i 21a. Tak też i ja pamiętam, że jeszcze przed moim odjazdem z Oświęcimia (17.12.1941) zauważyłem niespodziewanie, że nasz blok 20 stał się 21, a sąsiedni 19 stał się blokiem 20. I to już była numeracja ostateczna.

Przykrym i szokującym wydarzeniem w Oświęcimiu było pierwsze gazowanie chorych więźniów i pierwszych jeńców radzieckich w piwnicach i bunkrach 11 bloku, 3 września 1941 roku. Wielu ówczesnych więźniów opisało ten fakt w sposób wystarczająco dokładny, choć sądząc z drobnych różnic w relacjach, np. że wydarzenie to nastąpiło w dzień lub wieczorem, należy przyjąć, że opisy te są na podstawie opowiadań, a nie bezpośredniej obserwacji.

cji. Gazowanie odbyło się w nocy, około godziny 23. Widoczność z różnych punktów obozu, za wyjątkiem bloku 21a i 10 oraz 10a, była mocno ograniczona. Obserwowałem to cały czas z okien bloku 21a, razem z dr. Türschmiedem. Podaję to w skrócie:

Rano tego dnia, zaraz po wyjściu komand do pracy, przybyła do naszego szpitala niespodziewanie komisja, złożona z dwóch lekarzy SS, Hauptsturmführera Schwelli i Obersturmführera Junga, oraz SDG Klehra i Uhlmana (Fajczarza), był też kapo Bock i poszczególni blokowi. U nas był Stessel. Do nas wpadli około godziny 9, na blok chirurgiczny 21a. Kazano wszystkim chorym przejść na jedną stronę olbrzymiej sali. Odbywało się to w takim pośpiechu, że najciężej chorzy nie zdążyli powstać i w ten sposób pozostając w łóżkach nie uczestniczyli w przeglądzie i ocaleli. Chorzy, będąc przekonani, że to zwalnianie do pracy, przechodzili powoli przed siedzącymi w środku przejścia lekarzami niemieckimi, demonstrując swe choroby, utykając i pokaszłując. Lekarze pytali: „płuca boli, nelki boli?” Chorzy potakiwali. Wybranych, wymownym ruchem ręki odstawiano na bok. Stałem obok ze skrzynką z kartoteką, sprawdzałem numery, wyjmowałem odpowiednie karty i podawałem Stesselowi. W jednym przypadku, kiedy chodziło o zdrowego już, ale jeszcze osłabionego chorego w moim wieku, jakiegoś technika z Warszawy, o ile pamiętam o nazwisku Oracz, żal mi go było i przerzuciłem kartotekę, twierdząc, że coś się nie zgadza i muszę przeszukać całość. Odrzucono go z pośpiechu. Na drugi dzień miałem z tego powodu przykrości. Z naszego oddziału zabrano 54, a z całego rewiru ja zapamiętałem 257. Dr Paczuła z kancelarii podaje, w „PL Oświęcim” (nr 1, rok 1963), ogólną liczbę 298. Mam wrażenie, że jego liczba jest prawdziwsza, bowiem kancelaria spisywała tych chorych „na zgony” przez kilka dni i mieli ścisłe dane.

Chorych wyprowadzono zaraz na placyk między blokami 11 i 28, i tam stali na wietrze, a potem siedzieli i leżeli na ziemi aż do popołudnia. Nie wolno było się z nimi kontaktować, nie pozwolono im nosić jedzenia, ani poprawić opatrunki. Byli tylko w bieliźnie, niektórzy w samych tylko koszulkach. Początkowo myśleliśmy o transporcie, ale niecodzienne aktualia kazały przypuszczać coś gorszego. Po południu SS-mani, SDG i Bock, zaprowadzili ich do bloku 11 przez główne wejście. Niedługo potem SS-mani wyszli, wrócił też kapo Bock, ale nic nie powiedział nikomu. Odeszli też z bloku 11 blokowi i sztubendiensci oraz obsługa bunkra z jakimiś tobołkami. Drzwi bloku pozostały zamknięte i nie było tam widać żadnego ruchu. Blok ten pozostawał pod baczną obserwacją tak naszych sanitariuszy, jak też chorych. Do apelu naszych chorych nie odliczono ze stanu. Po apelu karna kompania nie wróciła do swego bloku. Mówiono, że poszli spać do nie ukończonego jeszcze bloku 4a. Wieczorem wydano jedzenie u nas na cały stan, nie odliczając tych, co odeszli. Nie było blokowego, poszedłem więc do Bocka, aby zapytać dokąd odesłać jedzenie dla Abgangów. Popatrzył na mnie, potem powiedział: „Im

już jedzenie nie będzie potrzebne. Rozdzielcie to dzisiaj między najgłodniejszych”. Zawolałem swoich pomocników i kazałem im rzędami rozdać jedzenie po pół porcji. Niestety, jeden z tzw. hilfspflegerów ukradł około 10 porcji chleba, kupił za to wódki i się schlał. Kiedy wrócił, otrzymał takie mordobicie, że chyba do dziś pamięta.

Po wieczornym gongu, kiedy chorzy poszli spać, z naszego odgradzonego szafkami kącika opatrunkowego, akurat od strony bloku 11, we dwóch z dr. Türschmiedem obserwowaliśmy na zmianę blok 11, co się tam dzieje. Wydawało nam się, że dotychczas SS-mani nie mieli dość czasu, aby pozabijać tak dużą grupę ludzi. Przypuszczaliśmy, że mogą coś zrobić w nocy. Ale tam był spokój. Byliśmy już bardzo zmęczeni, było już po 22 i mieliśmy już iść spać, kiedy posłyszałem jakiś szum, jakby maszerowało wielu ludzi przez obóz. Zaczęliśmy bacznie obserwować. Od strony obozu zbliżył się duży transport ludzi, pod eskortą SS-manów. Otwarto bramę na podwórze i zapalono światła na podwórzu i w bloku 11. Cały transport wchodził ciągle na podwórze i przez boczne wejście do bloku. Brama wejściowa bloku 11 była ciągle zamknięta. Trwało to dość długo, ponieważ boczne wejście jest wąskie i kręte. Ludzie wchodzący byli w mundurach, niektórzy w dziwnych czapkach spiczastych, jak niemieckie pikelhauby. Widziałem w takich czapkach żołnierzy radzieckich we Lwowie w 1939 roku. Zatem jeńcy. Na końcu pochodu było co najmniej kilku oficerów i podoficerów SS. Postacie znajome z obozu, ale nikogo nie rozpoznałem z całą pewnością. Duża część miała przewieszane przez ramię jakieś jakby chlebaki, a niektórzy typowe maski. Na końcu wjechał na podwórze mały wózek ciągniony przez SS-manów. Na wózku znajdowała się jakaś skrzynka lub paczka średniej wielkości. Około 80 x 80 x 80 cm. Bramy do podwórza cały czas nie zamknięto. Inaczej nie moglibyśmy niczego zobaczyć. Kiedy całość tych ludzi weszła do bloku, a ocenialiśmy ich liczbę, na oko, na około 800, zobaczyliśmy jak SS-mani ubierają maski gazowe i wchodzi do bloku. Jedni z bronią gotową do strzału, a inni coś nieśli na rękach, tak jak się nosi polana drewna. Byliśmy przerażeni. Nie spodziewaliśmy się tego. Trwało to około 15 minut. Cały czas oddział eskorty stał na podwórzu. Potem wyszli wszyscy z bloku i światło zgasło. Odmaszerował oddział eskorty. Na podwórzu dość długo jeszcze stali SS-mani i palili papierosy. Potem odjechał wózek z tą samą skrzynką, a potem spacerkiem odchodzili SS-mani. Drzwi do podwórza zamknięto, i zapanował spokój. Tej nocy nie mogłem zasnąć.

Rano wpadł do mnie zaraz po gongu nasz reiniger Roman Klimczyk (nr 3490) z Raclawic. Sławny przez motykę, z którą przybył do obozu. Był wywieziony na roboty przymusowe do Austrii. Wykombinował, że najlepiej będzie uciekać z motyką na plecach, spokojnie iść do domu. I byłby może doszedł, ale niepotrzebnie zapchał się z tą motyką do Wiednia. Nie znał języka, nie umiał też przechodzić na światłach ulicznych i przez tę motykę pod-

padł policjantowi. I tak wylądował w Oświęcimiu. Teraz miał sensację. Doktorze, powiada, Ruscy latali nad obozem i zrzucili czapkę, żeby nas o tym przekonać. Znalazłem to na schodach dentystryki. Zakazałem mu cokolwiek opowiadać, bo może stracić życie. Zabrałem mu tę czapkę i schowałem, a w południe zaniósłem kol. Bernardowi Świerczynie i opowiedziałem o wszystkim. Około południa wezwał mnie SDG Sittlinger. Ten najspokojniejszy. Podał mi kartkę z numerem i nazwiskiem więźnia, napisanym gotykiem, Oratsch. Zapytał, czy mam takiego. Odpowiedziałem, że sprawdzę i dam znać. Nie trzeba, odpowiedział, ty masz jednak szczęście, że to ja zastępuję dziś kolegę, który pojechał do Katowic. Ten chory opowiadał mi, żeś wczoraj nie dopuścił go do transportu i jego kartę schował. Odpowiedziałem, siląc się na spokój, że przegląd do transportu był rzeczywiście tak szybki, że nie nadażaliśmy z kartami, ale tego nie pamiętam. Tak więc chorego po paru dniach zwolniłem. Miałem dowód, że chorzy niewiele wiedzieli, ani się jeszcze nie domyślali, a może tylko niektórzy?

Cały dzień bacznie obserwowaliśmy blok 11, ale tam się nic nie działo. Nie mogę potwierdzić tego, co ujawniali niektórzy autorzy o rzekomych dogazowywaniach. Dopiero następnego dnia, tj. w piątek, 5 września, jeszcze podczas apelu rannego, weszło na podwórze 11 bloku kilku SS-manów i po kolei zaczęły się otwierać okna i drzwi bloku. Po kilkunastu minutach wyszli i wtedy zauważyłem między nimi Unterscharführera Klehra. Do wieczora już tam więcej nikogo nie było.

Dopiero po wieczornym apelu, już po kolacji, kiedy się już ściemniało, przed blok szpitalny nr 28 przybył Lagerführer Frytsch z Blockführerami i tłumaczem hr. Baborowskim. Zwołano nas wszystkich. „Sämtliche Pfleger antreten!” Frytsch przemówił do nas ze schodków 28 bloku. Baborowski powtarzał po polsku: „Będziecie dziś w nocy użyci do pracy, za którą rano otrzymacie dodatkowo chleb i kiełbasę. O tym co robiliście nikt nie śmie się dowiedzieć, inaczej pójdziecie tą samą drogą do nieba. Rano trzeba się wykapać”. Kapo Bock wyznaczył tylko dyżurnych na poszczególne bloki. Także i większa część szrajberów miała pozostać przy swej pracy. Wszyscy inni, nawet dr Dering, wówczas przecież naczelnym lekarzem między więźniami, musiał iść z nami do tej pracy.

Weszliśmy do bloku 11 przez podwórze. Tam podzielono nas na grupy. Jedni wyciągali zwłoki z dołu, z piwnic na parter, inni ściągali je na podwórze. Następna grupa rozbierała je z ubrań, inni rewidowali ubrania, jeszcze inni rachowali zwłoki i już policzone znaczyli na skórce klatki piersiowej ołówkiem kopiowym. Ładowacze dźwigali zwłoki na rollwę, a ostatnia grupa odwoziła je do krematorium. Zwłoki były już w rozkładzie, zielone i oślizłe. Najbardziej wychudzone wśród nich były zwłoki naszych chorych. Oni musieli chyba coś przeczuwać. Wielu miało w ustach watę i ligninę z opatrunków. U dwóch widziałem na szyi pętle z bandaży. Mówiono, że się powiesili,

ale możliwym jest, że założono te pętłe przy wyciąganiu zwłok. Wyciągano bowiem różnie, na pętlach, na paskach, za nogi itd. Praca w grupach zmieniała się, ale jakoś tak kombinowałem, że pozostawałem prawie cały czas na podwórzu. Raz tylko byłem na dole i zaraz uciekłem. Tego nie da się opisać. Przyzwyczajony, po medycznym wyszkoleniu, do pewnego poszanowania ludzkich zwłok, przeżyłem szok. Straszliwy smród. Podłoga pełna ludzkich ekskrementów, krwi i cuchnącej treści. W tym gnoju ciągniono ludzkie zwłoki, szarozielonobrudne, z szeroko otwartymi oczyma i ustami, a czaszki stukały po schodach i po posadzce. Zwłoki było wygodniej ciągnąć za nogi, niż w inny sposób. Koniec świata!

Najdłużej pracowałem przy rozbieraniu zwłok oraz zbieraniu dokumentów i wszelkich drobiazgów z ubrań. Tu była najściślejsza kontrola SS-manów. Odbierali wszelkie dokumenty, pieniądze, zegarki, pierścionki i inne drobiazgi. Rozbieranie było brudną i trudną robotą. Jak tylko SS-mani nie widzieli darliśmy wszystko na strzępy. Zagazowani jeńcy posiadali prawie wszyscy, na sznurkach na szyi, typowe blaszki ze stalagu II B w Lamsdorf. Wielu miało typowe rosyjskie paszporty. Nie było czasu na ich odczytywanie, bo po pierwsze SS-mani nie pozwalali, a po drugie były one wypełnione pismem ręcznym i cyrylicą. To nie takie łatwe do szybkiego odczytania. Nie mogę zatem twierdzić, jak piszą niektórzy, że byli tam oficerowie, komisarze itd. Nie wiem nawet, czy takie rubryki w paszportach istnieją. O tym, że to są bolszewicy komisarze, mówili nam SS-mani. Moim zdaniem, zabici jeńcy byli to poważnie ludzie młodzi, niektórzy nawet bardzo młodzi, w tzw. wieku poborowym i nieco wyżej. Oceniałbym, że od 18 do 25, może 30 lat. W kieszeni spodni wojskowych, w kieszonkach, które my starsi określaliśmy jako zegarkowe, znajdowaliśmy prawie u każdego walcowate cylindryczne, składane pudełeczka z bakelitu, podobne do igielników. W środku znajdowała się zwinięta karteczka o wymiarach około 5 x 10 cm. Był to chyba wojenny dokument wojskowy. U góry było małe zdjęcie fotograficzne, z wolnym dolnym prawym rogami, o wymiarach 25 x 35 mm. Obok u góry wypisany był jakiś numer, a poniżej dane personalne właściciela. Wyjmowaliśmy te dokumenty, oglądaliśmy i oddawaliśmy SS-manom. Pudełeczka najczęściej zatrzymywaliśmy dla siebie i kolegów na igielniki. Było ich potem mnóstwo w obozie. Wszystko też było pisane cyrylicą i ręcznie. W pewnej chwili zauważyłem podpis pisany łacińskim alfabetem. Zacząłem je bacznie obserwować. Co najmniej trzecia część tych, które przeszły przez moje ręce miały polskie podpisy i polskie imiona. Mariany, Kazimierze, Zbigniewy, Stanisławy, Wojciechy powtarzały się bardzo często. Byli to młodzi nasi chłopcy z okolic Stanisławowa, Stryja, Sambora i Lwowa. A więc nie komisarze polityczni, ale młodzi nasi chłopcy, zabijani jak barany w rzeźni. Jeńcy wojenni. Jaki perfidny zbrodniarz to wymyślił, jak zbrodniczy musi być ten kulturalny naród, który tak ochoczo i z radością wykonuje to, tak jak ci tu, młodzi chłopcy, SS-mani!

Rosjan spisywali szrajberzy tylko ilościowo. Było ich około 600. Naszych chorych spisywano według numeru, jaki każdy chory w szpitalu miał wypisany na piersi. Nie odczytano jednak wszystkich numerów dokładnie, coś tam pozostało do wyjaśnienia w kancelarii. Razem było wtedy grubo ponad 800 zwłok. Pracę kończyliśmy już nad ranem. Było już jasno. Popędzano nas bardzo i do ostatniej rollwagi podwojono liczbę pracujących. Może właśnie dlatego, burty rollwagi zostały źle pozapinane. W drodze, akurat na placu przed kuchnią, burty puściły i oślizłe zwłoki rozleciały się wokoło po placu, jak ryby. SS-mani byli wściekli. Nie pozwolili nam już ponownie ładować na wóz, ale każdy musiał ładować zwłoki na plecy i trzymając je za nogi, biegiem nieść do krematorium. Szczególnie zawzięli się wtedy na dr. Deringa, bo miał najczystsze ubranie i wyglądało na to, że całą noc nie pracował. Jeden z SS-manów poganiał go specjalnie i musiał chyba aż trzy razy odbyć kurs do krematorium, kiedy my tylko po dwa lub nawet po jednym. Zaraz potem był gong ranny i po myciu, kąpieli, zmianie ubrania i bielizny wróciliśmy do pracy. Rano wydano nam po pół bochenka chleba i około 15 dkg kiełbasy.

Przez kilka dni nie opuszczał nas ten straszliwy smród. Kancelaria spisywała naszych chorych, jako normalnie zmarłych, po kilkadziesiąt osób, przez kilka dni. Mało rozmawialiśmy o tym nawet między sobą. Przeciętny więzień nieprędko dowiedział się o tym, a pracujący, np. w Bunawerke, dopiero po pewnym czasie. Oni wtedy byli komandiert na cały tydzień i do obozu przychodzili tylko na niedzielę, aby się wykapać lub wymyć, zmienić bieliznę itd. Miałem wśród nich kilku kolegów, między innymi najbliższego kolegę szkolnego Ignaca Sikorę (nr 5814) z Gorlic. Z nim chyba rozmawiałem pewnej niedzieli, jeszcze we wrześniu. Opowiadał mi, że słyszał od pewnego cywila, jakoby Anglicy podali we czwartek, Moskwa powtórzyła następnego dnia, że w Oświęcimiu Niemcy zagazowali 1000 więźniów i 3000 jeńców rosyjskich. Nie mówią natomiast nic, jak nas tu biją, szykanują i każą umierać przy pracy. Nie chciał wierzyć, jak mu opowiadałem o tym, co się stało w obozie. Myślałem potem wiele razy, jak to się wydostało z obozu. Wydawało mi się, że pośredniczył w tym Świerczyna. Opowiadałem mu bardzo dokładnie o tym, co widziałem i był tym bardzo zainteresowany.

Nie dowiedziałem się nigdy, jak to gazowanie było technicznie przeprowadzone. Z naszych też nikt nie wiedział dokładnie. Po prostu nie było naoczego świadka. Nie mogę potwierdzić podawanej przez niektórych historii o dogazowywaniu. Według moich obserwacji tego nie było. Nie mogę nic powiedzieć na temat uszczelniania okien bunkrów przez zasypywanie piaskiem. Po prostu tego nie widziałem lub nie zwróciłem uwagi. Wtedy przy opróżnianiu bloku 11 ze zwłok, deptaliśmy tam po niebiesko-zielonych kryształkach, jak po żwirze. Niektórzy nawet przynieśli to do szpitala. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że nazywa się to cyklon B, i właśnie ta substancja wydziela cyjanowodór, który zabija wszystko co żywe. Nie widziałem też osobiście

wtedy więźniów pracujących w maskach przy wyciąganiu zwłok lub tego nie pamiętam.

Całość tej sprawy długo dla postronnych była nie do wiary. Kiedy w grudniu 1941 r. przewożono mnie, z dr. Żegleniem, do Gross-Rosen, więźniarką kolejową, jedną noc spędziliśmy w więzieniu w Krakowie. W nocy opowiedzieliśmy innym więźniom o tej sprawie. Nikt nie chciał wierzyć. Wzięto to za bujdę. Musieliśmy przysięgać na krzyż, że mówimy prawdę. Takie to było nieprawdopodobne.

W ostatniej dekadzie września 1941 r. zaczęto dzielić obóz oświęcimski płotem z drutu kolczastego na dwie części. Od bramy, wzdłuż drogi obozowej aż do 3 bloku włącznie. Między blokiem 14 i 24 wybudowano dwuskrzydłową bramę. W obozie widywało się stale grupy oficerów SS i Wehrmachtu. Stąd chyba poszła pogłoska, że połowę obozu zabierają na obóz jeńców wojennych, że tam ma być dozór wojska, a nie SS. W ostatnich dniach września wezwał mnie do siebie o-kapo rewiru Bock. Na korytarzu stał starszy wiekiem więzień z mojego transportu (nr 5921). Jego dotychczas nie znałem. Był to lekarz kolejowy z Makowa Podhalańskiego, Józef Żegleń. Dotychczas nie pracował w rewirze. Weszliśmy do sali zabiegowej i Bock zaproponował nam ochotnicze przejście do pracy w nowym obozie jenieckim i obiecał pomóc w organizacji tam szpitala więziennego. Trzeba było znać trochę języka niemieckiego i rosyjskiego, ale to przecież każdy Polak potrafi. Pokazał nam jakieś spisy zaopatrzenia medycznego i sanitarnego. Miało tam być tak dobrze, jak nam dotychczas się nawet nie śniło. Wyżywienie miało być pięć razy dziennie, jak w wojsku niemieckim. Do pracy będą chodzili tylko ci jeńcy, którzy wyrażą na to chęć. Nie będzie żadnego kłaniania się czapkami, jeńcy będą tylko salutować oficerów. Na razie tam nie mają lekarzy własnych, ale jak tylko się znajdą i podszkolimy zastępców, wrócimy do swej dotychczasowej pracy. Nie mogłem się nie zgodzić, tym bardziej, że wiedziałem o jego radioaparacie, więc chciał się mnie pozbyć. Bałem się go i nawet chciałem się zwolnić z rewiru, ale mnie nie puścił. Było mi na rękę zniknąć z jego pola widzenia.

Zaczęliśmy przygotowywać się do nowej pracy. Na cele szpitalne otrzymaliśmy północną część bloku pierwszego, wówczas jeszcze parterowego. W południowej jego części znajdowały się, w pomieszczeniach starej pralni, jakieś kotły, stoły itd. Korytarz był przedzielony murem. Nasze wejście znajdowało się od strony bloku 12. Po lewej stronie od wejścia znajdował się ustęp i umywalnia, następny pokój przeznaczaliśmy na izbę przyjęć, potem następny na pokój zabiegowy. Następny mały pokój, który był przedtem mieszkaniem blokowego i pisarza bloku, przeznaczaliśmy dla siebie, ostatnią salę po lewej stronie przeznaczaliśmy na salę chorych nr 4. Po prawej stronie korytarza znajdowały się sale chorych oznaczone numerami 7, 8, 9 i 10. Sale te przeznaczaliśmy na sale chorych. Największa była sala 9. Nie otrzymaliśmy żad-

nego pracownika więcej. Pomocników mieliśmy sobie dobierać spośród jeńców. Na razie musieliśmy sobie sami wystarczyć do wszelkich prac przygotowawczych. Nie przewidzieliśmy też żadnego pomieszczenia na skład zwłok. Miały one na bieżąco być oddawane do krematorium.

Wypożyczenia nie było jednak żadnego. Miało dopiero nadejść. Tymczasem wyposażenie mieliśmy wypożyczyć w szpitalu naszym. Niewiele jednak otrzymałem. Trzy grube 240-kartkowe zeszyty, w twardej okładkach, na krankenbuch, ambulatbuch i totenbuch. Historii chorych nie będziemy prowadzić. Tak samo nie będziemy prowadzić kart gorączkowych. Nie było atramentu. Sporządziłem go z ołówka kopiowego. Potem okazało się, że nie ma żadnego wyposażenia medycznego. Po długich poszukiwaniach przez Bocka otrzymaliśmy z sali zabiegowej bloku chirurgii: 1 kozetkę drewnianą, 1 kocher, 1 nożyczki, 1 skalpel, 1 termometr, 2 pęsety i maszynkę elektryczną do gotowania. Strzykawek nie dostaliśmy. Poza tym trochę ligniny, kilka opasek muslinowych na gazę, niewiele opasek papierowych oraz bardzo niewiele leków najprostszych, jak tabletki przeciwbólowe, aspiryna, tanalbina, węgiel, trochę wody utlenionej, riwanolu i lizolu. Byłem rozżalony i czułem się oszukany. Założyliśmy książki szpitalne, pobraliśmy z kancelarii szpitalnej wykaz przyczyn zgonów. Zrobiłem z tego wyciąg około 80 jednostek i kartkę tę, naklejoną na kartoniku, używałem jako zakładkę do księgi zgonów. Następnie pozamiataliśmy cały blok, oczyścili, zdezynfekowali, pozamykali i wróciliśmy do pracy w bloku chirurgicznym. Nie wiem na jakich zasadach werbowano innych pracowników do tego obozu jenieckiego. Słyszałem, że kilkudziesięciu więźniów szkolono w bloku 24 w języku rosyjskim. Mieli tam być i Polacy. Blokowych wybrano spośród niemieckich BV-erów, blokowych i kapo, spośród najbrutalniejszych. Lagerälteste został Leo Wietschorek (BV nr 30), dotychczasowy drugi Lagerälteste obozu, znany z brutalności i sadyzmu. Mimo nazwiska z polskością nie miał nic wspólnego i języka polskiego nie znał.

7 października 1941 roku był dzień słotny i zimny. Zaraz rano wezwał mnie Bock i powiedział, że jeńcy już przyjechali i zaraz po apelu mamy się przenieść do naszej nowej pracy. Będziemy tam na zasadzie odkomenderowania i do apelu mamy stawać razem z innymi tam odkomenderowanymi więźniami. Mam się z nim kontaktować w sprawach wyłącznie sanitarno-medycznych, ze wszystkim innym do Leo Wietschorka. Poszliśmy tam zaraz po apelu. Właśnie od bramy, w kierunku obozu jeńców, SS-mani pędzili grupę kilkudziesięciu zupełnie nagich jeńców, z wrzaskiem, biciem pejcami i czym popadło. Jeńcy mieli tylko buty na bosych nogach. Na szyi, znane nam już, blaszki ze stalagu, w rękach żołnierskie okrągłe kociołki typu rosyjskiego, menażki wojskowe typu polskiego, niektórzy proste blaszanki z puszek po konserwach i krótkie drewniane łyżki rosyjskie. Przerażliwie wychudzeni i sini z zimna. Na końcu prowadzono, lub właściwie wleczono, chorych i osłabionych. Tych bito najczęściej. Przeważali ludzie młodzi, w wieku 20 do 35 lat. Od razu pro-

wadzono ich na bloki i zamykano, nie pozwalając wychodzić. I tak co kilkanaście minut, przez cały dzień, pędzono nową grupę ludzi. Tego dnia zapełniono po kolei bloki 2, 3, 3a, 12, 13 i 14.

Zameldowaliśmy się u Lagerältestera. Leo nie miał czasu dla nas. Zapowiedział, że bez jego zezwolenia i zawiadomienia nie wolno nam nikogo przyjmować do szpitala. Co najwyżej możemy udzielić pilnej pomocy na bloku, jeżeli blokowy nas wpuści.

Przeszliśmy przez cały obóz. Na terenie obozu jenieckiego mieściło się 9 bloków mieszkalnych. Z tego bloki 1, 2 oraz 12, 13 i 14 były jeszcze parterowe, a bloki 3, 21, 22 razem z 23 i 24 były już piętrowe. Dłaczego blok dawny 8 nosił podwójną numerację, nie wiem, ale od strony drutów na parterze był blokiem 22, a z drugiej strony 23, na górze był blok 23a.

Odwiedzaliśmy poszczególne bloki, szukając chorych. Nie dopuszczono nas nigdzie do kontaktu z jeńcami, dopóki nie będą spisani i zarejestrowani. Wszędzie straszliwy bałagan. Czegoś podobnego nie widzieliśmy dotychczas. Ludzie zmarznięci zbijali się w duże grupy, jak roje pszczoł, ogrzewając się ciepłem własnego ciała. Niektórzy osłabieni, siedzieli lub leżeli na betonowej podłodze pod ścianami, niezdolni odpowiadać na pytania. Blokowi i pisarze spisywali ludzi, mając w tym duże trudności. Nie znali języka rosyjskiego, jeńcy nie znali niemieckiego. Biciem zmuszano ich do zrozumienia nieznaney im mowy. Chorym nie wolno było położyć się do łóżka. Nie wolno było zabierać ich do rewiru. Chodziłem w tej sprawie do Bocka i ponownie do Wietshorka, ale nic nie uzyskałem. Około południa wydano im po chochli rzadkiej zupy z brukwi i po kromce chleba, jeden bochenek 1400 gram na 10 osób. Zaraz potem, według spisów dokonanych na blokach, prowadzono jeńców grupami do rejestracji w bloku 24. Tam wydawano jeńcom nowe oświęcimskie numery, zaczynając od 1 wzwyż. Numery te malowano jeńcom na skórze klatki piersiowej ołówkiem kopiowym. Błaszek ze stalagu na razie nie zabierano. Numery wypisywane ołówkiem ścierały się i zamazywały, i były źle widoczne. Kontrolowano je i poprawiano na blokach prawie codziennie. Nie zapobiegło to jednak pomyłkom, które potem popełniano często przy rejestracji zabitych i zmarłych. Dlatego w późniejszym okresie, około połowy listopada, jeńców numerowano za pomocą tatuowania skóry na piersiach. Do końca mego pobytu w obozie jeńców, tj. do 8 listopada 1941 r., nie widziałem jeszcze ani jednego tatuowanego.

W kancelarii bloku 24 wypisywano dwa zasadnicze dokumenty. Zakładano karty ewidencyjne, jak w obozie koncentracyjnym, na szaro-kremowych kartonowych kartach formatu pocztówki, oraz tzw. fragebogeny wojskowe. Były to zielono-seledynowe, duże dwukartkowe blankiety. Posiadały one wiele rubryk do dokładnego wypełnienia, zawierające dokładne dane osobowe i rodzinne każdego jeńca, dane o wykształceniu, zawodzie, wykształceniu zawodowym, przynależności komsomołowej i partyjnej. Nie widzieliśmy wów-

czas, po co Niemcom te dane. Kartoteki te sporządzali więźniowie władający dobrze językiem rosyjskim. Byli wśród nich i Polacy. Było tam wtedy dużo SS-manów nadzorujących tę pracę. Byłem tam kilka razy w ciągu dnia, musiałem bowiem zgłaszać zgony. Było ich w pierwszym dniu 5. Byli wśród nich i tacy, którzy byli już po rejestracji i posiadali już nowe numery. Jak ich zarejestrowano, nie wiem. Zmarli jako nieznani, bo w tym bałaganie niczego nie można się było dowiedzieć. Nikt nie wiedział, gdzie składać zwłoki. Wreszcie postanowiono, aby tymczasem złożyć je w piwnicach bloku 3.

Przez cztery dni dochodziły nowe grupy jeńców. Na Holzplatzu, koło bocznic kolejowej, ustawiono żelazne kadzie i tam ich strzyżono i kąpano w zimnej wodzie z dodatkiem lizolu, pryskano cupreksem i dostarczano do obozu. Oczywiście nadal nago. Na blokach ciągle nie było koców, które jeszcze nie wróciły po dezynfekcji. Nadal nie wolno było przyjmować do rewiru. Nadal chodziliśmy z kolegą Żegleniem po blokach, aby udzielać jakiegokolwiek pomocy czy robić najkonieczniejsze opatrunki. Stan zdrowotny był zastraszający. Byli w wysokim stopniu niedożywieni, zmuzułmanieni i obojętni na wszystko. Skóra pokryta była wrzodami, czyrakami, starymi ranami itd. Wielu cierpiało na świerzb. Wszyscy kaszleli, wielu gorączkowało. Niewiele mogliśmy pomóc. Poza tym zauważyłem, że nikomu z nas nie ufali.

Na ogół jeńcy ci pochodzili ze stalagu II B, nr 318 Lamsdorf. Tam byli zakwaterowani wyłącznie pod gołym niebem. Do niewoli dostali się w pierwszych dniach wojny. Żadnych aktualnych wieści z dalszych walk nie mieli. Przeszli olbrzymie tereny, aż do Lamsdorf, prawie wyłącznie na piechotę. Dużo już zginęło. W Lamsdorf byli zakwaterowani przeważnie pod gołym niebem. Kopali małe ziemianki w formie dołów, łyżkami, patykami, ale niewiele z tego wychodziło, bo teren był podmokły i dostawała się woda. Często otrzymywali tylko suchy prowiant, jak brukiew i zmarzłe kartofle, i sami gotowali sobie jedzenie. Przeważnie zjadali jednak wszystko na surowo. Stąd wielu cierpiało na biegunkę, w tym i na krwawą. Trudno było nawiązać z nimi szczery kontakt. Byli nieufni i byli przekonani, że przyjechali tu na wykończenie.

Około 11 października zakończono wstępną rejestrację i 12 października, w niedzielę, przez cały dzień wydawano część odzieży oraz koce. Zwożono je na wozach i przed poszczególnymi blokami zrzucono po prostu w błoto. Wydano tylko koce, spodnie, bluzy typu gimnaściorka i czapki furazerki i polówki ze szpicem. Nie wydano bielizny ani skarpet, ani onuc, nie wydano płaszczy. Brak bielizny fatalnie odbił się na stanie zdrowia. Brudne, podmokłe i sztywne drelichy powodowały otarcia skóry w kroczu i pod pachami, utrudniały chodzenie i powodowały powstawanie owrzodzeń.

Do 12 października włącznie było już 17 zgonów. Były to jeszcze na ogół zgony naturalne, spowodowane głodem, ciężkimi trudami oraz chorobami. Ciągle jeszcze zwłoki składaliśmy w piwnicy 3 bloku, krematorium zwłok nie przyjmowało. Do tego czasu przybyło około 3000 jeńców. Miało ich być 12 000.

W poniedziałek, 13 października, po raz pierwszy pognano jeńców do pracy. Część poszła do pracy gdzieś blisko, koło obozu. Inni poszli do pracy w Brzezince. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem tę nazwę. Po południu tego dnia autem ciężarowym przywieziono 60 zabitych jeńców z Brzezinki. Wszyscy byli pozabijani. Jedni byli postrzelani, inni po prostu porąbani i pozabijani. Kapo i SS-mani opowiadali, że jeńcy otrzymali siekiery do wycięcia drzew i usiłowali rzucić się na SS-manów i całe komando, jako buntownicy, zostało wystrzelane. Kiedy wszyscy wrócili, dowiedziałem się od innych jeńców, którzy pracowali w pobliżu, że sprawa wyglądała inaczej i była zwykłą prowokacją. Podczas przerwy SS-mani zrobili jeńcom „sport” i kazali biec w kierunku łańcucha postów. Tam była już przygotowana broń i zaczęto do jeńców strzelać seriami. Zawracający dostali się pod strzały naszych SS-manów, a kapowie dobijali siekierami. Jeden z zabitych miał straszliwie odrąbane ramię, a inny dużą ranę rąbaną pleców. Takiej zbiorowej masakry ze strzelaniem już potem nie obserwowałem.

Następnego dnia otrzymaliśmy 12 konających z bloków i 5 zmarłych z nowego transportu, który nadszedł tej nocy. Tak było przez kilka następnych dni, aż do 20 października. Blokowi nie posyłali nam chorych do leżenia. Podrzucano nam tylko zmarłych. Z pracy przywożono zabitych i zmarłych, i z powodu braku czasu porzucano ich przed rewirem, doliczając jako żywych w stan rewiru, aby było szybciej. W ten sposób jednak, aby „wyrównać” stan rewiru musieliśmy meldować zgony z rewiru ludzi, którzy nigdy w rewirze nie przebywali. W dodatku bardzo wielu z nich było nieznanym. Nie udało się ustalić ani nazwiska, ani bloku.

Naszą pracą z dr. Żegleniem podzieliliśmy się w następujący sposób. Ja, jako młodszy, zajmowałem się tylko zmarłymi, kolega, jako starszy, chorymi leżącymi i chorymi po blokach, bowiem do rewiru wieczorem, po stosach trupów trudno było się dostać. Chorych leżących było bardzo mało. Ja pamiętam z tego okresu tylko jednego wyleczonego. Zastanawialiśmy się, jak to oddać w książce. Mieliśmy dużo zgonów, a właściwie nie mieliśmy chorych. Jak to wykazać na wypadek, gdyby ta książka się zachowała? Postanowiłem znaczyć zgony: jeżeli chory umierał w rewirze, pisałem miejsce zgonu KB (Krankenbau) i dodawałem numer sali chorych 4, 7, 8, 9, 10 lub po prostu numer bloku – bl. 1. A więc: KB4, KB7, KB8, KB9, KB10 lub KB bl. 1. Jeżeli były dostarczane już tylko zwłoki, np. podrzuczone pod rewir, lub dostarczano już nieżyjących z komand i pod rewirem zaliczano ich do apelu do rewiru i nie udało się ustalić bloku, pisałem znak KB+, jeżeli ustalono blok pisałem KB z numerem odpowiedniego bloku, a więc: KB/2, KB/3, KB/3a itd. aż do KB/23a. W ten sposób oznaczałem zmarłych w zapisach w Totenbuch do dnia 28.10.41. Wynika z tych zapisów, że np. od 20 do 28.10.41 dostarczano wyłącznie zmarłych, mimo że książka wykazuje ich zgony w szpitalu. Te zapisy urywają się 28.10.41 z następujących przyczyn: Po pierwsze, na skutek coraz

większej liczby zwłok nie byłem w stanie podolać sam tej pracy i przydzielono mi pisarza. Po drugie, na skutek całkowitego zapełnienia piwnic bloku 3 zwłokami, kazano wynieść łóżka z sal chorych szpitala i składać zwłoki na salach chorych, przesypując obficie wapnem chlorowanym. Tak więc szpital stał się jedynie wielką składnicą zwłok. Po trzecie, od 20.10.41 urzędowała już w bloku 24 specjalna komisja Gestapo i nie można było w kancelarii uzyskać żadnych danych odnośnie do przynależności blokowej zmarłych, ani ich nazwisk z kartoteki. Pozostawał więc jedynie numer pisany ołówkiem kopionym na piersi. (Ciągle jeszcze nie było tatuowania). Stąd też liczne omyłki numerowe.

Do bloku 24, do kancelarii chodziłem dość często w sprawach meldunków zgonów itd. Spotykałem tam gestapowców w czarnych mundurach, o nieznanomych twarzach, oraz dziwnych SS-manów, nawet o znajomych twarzach, ale w mundurach jenieckich czystych i sukiennych, zapewne oficerskich. Oni brali udział w serii ponownych przesłuchań, prowadzonych w bloku 24. Przesłuchaniom tym podlegało bardzo dużo jeńców, ale nie wszyscy, tylko wezwani. Jak się to odbywało dowiedziałem się w następujący sposób: Około 15 lub 16 października między nieżywymi zwiezionymi z pracy i pozostawionymi pod rewirem oraz doliczonymi do stanu rewiru do apelu wieczornego, znalazłem podczas porządkowania zwłok, jednego jeńca jeszcze żywego, a tylko przemarzniętego i zemdlonego. Był to człowiek w wieku 20-22 lat, z 3 bloku. W ciągu dwóch dni był już w dobrym stanie i z własnej woli zaczął nam pomagać. Twierdził, że w wojsku był sanitariuszem. Załatwiłem jego udział do rewiru, poprzez Bocka, u Lagerältestera. Został posługaczem, tj. reinigerem. Otrzymałem dla niego bieliznę, czysty mundur i płaszcz. Zapamiętałem jego nazwisko jako Nikołaj Nikitin. Pochodził gdzieś z Rosji centralnej. Był bardzo inteligentny, mówił trochę po niemiecku i wydaje mi się, że posiadał wykształcenie wyższe od przeciętnego. Poza tym był bardzo pracowity. Jego kolega Andrej (nazwiska, niestety, nie znam i zdaje się nigdy nie znałem), pracował jako osobisty służący u Lagerältestera Leo Wietschorka. Spotykali się prawie codziennie wieczorem w szpitalu. Opowiadali, że Niemcy wiedzą wszystko, bo mają na usługach zdrajców, jeńców oficerów, lub też to jest jakiś diabelny podstęp. Jak tylko kogoś podejrzewają, że był choćby tylko komsomołcem, to idzie do piwnicy i na rozwałkę. Tak dowiedziałem się, jak się to odbywało. Przesłuchujący, nierzadko w rosyjskim mundurze, miał przed sobą uprzednio spisane niebieskie wojskowe fragebogeny jeńca i patrząc w kartotekę zaskakiwał przesłuchiwanego znajomością jego rodziny, rodzeństwa, szkoły itd., czasem nawet podawał się za znajomego któregoś z członków rodziny. Wszystko to odbywało się w nienagannym języku rosyjskim. Potem strzelał podchwytliwym pytaniem np. o komsomol i już miał nową ofiarę do specjalnego traktowania. Wybranych rozstrzeliwano w bloku 11, zwykle zaraz po przerwie południowej.

Po raz pierwszy widziałem takich skazańców, pędzonych nago do bloku 11 w dniu 21.10.1941. Za nimi szło całe grono oficerów i podoficerów, z tych przesłuchujących w bloku 24. Otrzymałem potem polecenie wpisania 11 numerów do książki zgonów. Kiedy zapytałem, gdzie są zwłoki, powiedziano mi, że tym razem zwłok nie będzie. Wpisałem zatem do Totenbuchu jako überstellt do bloku 11. Nazwisk ani przynależności blokowych tych ludzi nie podano mi.

Po raz drugi zdarzyło się to 28.10.1941. Wtedy otrzymałem dwie kartki na 20 i potem jeszcze na 2, razem na 22 ludzi. Również bez zwłok. Zapisano tak samo: überstellt do bloku 11. Tego dnia wieczorem nasz Mikołaj wrócił spląkany. Powiedział, że wśród tych rozstrzelanych był także jego kolega Andrej. Według książki zgonów były jeszcze dwie takie rozwałki, a mianowicie 14.11.1941 – 45 osób i 15.11.1941 – 7 osób, wszystkie w ten sam sposób zapisane. Razem, według zapisów w Totenbuch, rozstrzelano 85 jeńców. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że rozstrzelanych było więcej. No cóż, pamięć jest zawodna. Trzeba wierzyć zapisom.

Przed moim wyjazdem z obozu oświęcimskiego poszedłem ostatniego dnia, a więc 16 grudnia, wieczorem pod jeniecki obóz i poprosiłem przez druty jakiegoś jeńca, żeby mi przywołał Mikołaja z rewiru. Chciałem się pożegnać. Za chwilę wrócił, ale widziałem, że biegał na blok 13, a nie 1. Kiedy przybiegł z powrotem, zwróciłem mu na to uwagę. On odpowiedział mi, że teraz szpital jest na bloku 13. A Mikołaj już nie żyje, bo go rozstrzelali. Przeglądałem, zachowany w Muzeum Oświęcimskim, Totenbuch w całości dość dokładnie. Pod numerem bieżącym 3700 z dnia 15.11.1941, między rozstrzelanymi (überstellt do bloku 11) znalazłem zapis: Nikolaj Nikiszinin. Jestem przekonany, że to był nasz Mikołaj z rewiru, którego nazwisko przez 40 prawie lat, w mojej pamięci przekreśliło się na Nikolaj Nikitin.

Zwłok zmarłych i zabitych w obozie jenieckim początkowo nie przyjmowano do krematorium, gdyż w tym samym czasie zagazowano tam transport około 1000 ludzi i rzeczywiście nie było miejsca. Krematorium to miało wówczas dzienną wydolność nieco ponad 300 zwłok. Potem te gazowania powtarzały się, a równocześnie zwłok w obozie jenieckim przybywało i powstawało błędne koło.

Do 28.10.1941 w piwnicy bloku 3 było już ponad 650 zwłok. Piwnice były zapełnione. Była wtedy komisja z wielu oficerów SS w obozie jenieckim, był także Standortsarzt Schwella w tej sprawie i polecono składać zwłoki w salach chorych. Szpital miał być przeniesiony. Jak mi potem powiedział Bock, kierownik wydziału politycznego nie zgadza się na grzebanie zwłok, a komendant bawi się w gazowanie w krematorium i nie ma miejsca. Wtedy zachowaliśmy jedną salę chorych z łózkami, nr 9, ale już po dwóch dniach musieliśmy ją też opróżnić, bo wówczas dziennie ginęło ponad 150 ludzi. Do szpitala, poza nami trzema tam żyjącymi, nikt nie przychodził. W naszych salach chorych mieściło się ponad 700 zwłok, aż do górnych kwater okiennych. Nie przychodził żaden Blockführer ani żaden SDG. Odsiłem meldunki do kan-

celarii i to wystarczało. W szpitalu był nieopisany smród i zaduch. Mieliśmy wtedy już stałą pomoc kancelaryjną do prowadzenia księgi zmarłych, ale nazwisk już dziś nie pamiętam. Pracowaliśmy od świtu, gorzej jak w krematorium, czasem do północy i dalej, żeby na rano do apelu księga zmarłych była wyprowadzona.

Od 1 listopada brakło miejsca na zwłoki w szpitalu. Kazano składać je na dworze, między blokiem 1 i 2. Zastawialiśmy od ulicy przejście za pomocą stojących tam łóżek i zwłoki posypywaliśmy wapnem chlorowanym. Pogoda była niepomyślna. Ciągłe padał deszcz ze śniegiem i topniał, i stamtąd płynęła stale struga śmierdzących popłuczyn, a zwłoki puchły. Liczba zwłok przekroczyła 1300. Był znów Lagerarzt Schwella i był wściekły. Postanowiono wreszcie zwłoki grzebać. Od 1 listopada wychodziły duże komanda jeńców do Brzezinki i tam kopano gigantyczny dół, jak mi opowiadano o wymiarach 50 x 6 metrów i głębokości około 3 metrów. Przy tej morderczej pracy na zimnie i przy niesprzyjającej pogodzie ginęło ich dziennie po 250 i więcej, a 4 listopada aż 352. Zwożono ich od południa do wieczora autami i zsypywano na ulicy przed rewirem.

Od 4 listopada rozpoczęto wywożenie zwłok autami do tego dołu do Brzezinki. Najpierw z piwnic bloku 3. Kostniałem z zimna przez cały dzień na dworze, odliczając każde zwłoki, byłem bowiem odpowiedzialny za ich liczbę. Jednego dnia jakiś złośliwy Blockführer zapędził nas obu z Żegleniem do ładowania tych zwłok. 8 listopada ukończono dopiero wywózkę zwłok z piwnic i rozpoczęto tam sprzątanie i dezynfekowanie pomieszczeń. Następnego dnia mieli wywozić zwłoki nagromadzone między blokami, a na końcu ze szpitala. Tego dnia był Bock z SDG Uhlmannem (Fajczarzem) i postanowili następnego dnia przenieść szpital do bloku 13, bo tam już prawie nie było jeńców, bo wyginęli. Blok pierwszy, po wywiezieniu zwłok, miał być oddany do użytkowania jako normalny blok jeniecki. Według zapisów Totenbuch, od 15 listopada pojawia się blok 1 jako blok jeniecki, zatem można przyjąć, że do tego czasu ta zmiana już nastąpiła i wszystkie zwłoki zostały wywiezione. Do 8 listopada włącznie zmarło i zginęło w obozie jenieckim 2790 jeńców.

Co się stało, że śmiertelność wśród jeńców tak nagle podskoczyła w ostatnich dniach października i w początkach listopada 1941 roku? Przede wszystkim było to działanie zamierzone i odpowiadało założeniom komendantury obozu. A więc wynik terroru i bestialskiego traktowania. Zabijano w sposób jawny i podstępny, a nawet tym się chlubiono i opowiadano sobie ilu kto już Ruskich własnoręcznie wykończył. Następnie wyjątkowo zimna wówczas pogoda, stale podający śnieg z deszczem. Po trzecie, niedostateczne ubranie, bez bielizny i bez płaszczy. Wreszcie wygłodzenie poniżej wytrzymałości fizjologicznej organizmu.

Wyżywienie na granicy permanentnego głodu, absolutnie gorsze niż wyżywienie więźniów, przede wszystkim ilościowo. Rano 1 chochła, około

400 gram zupy avo. W południe wodnista zupa brukwiowa, zawsze ta sama, nawet w niedzielę, kiedy więźniowie otrzymywali lepszą, zawsze w mniejszej ilości około 600 gram na porcję. Do tego kromeczka chleba, bochenek na 15 ludzi. Wieczorem czasami taka sama kromeczka chleba, dodatek mniejszy o połowę jak w obozie ogólnym i jakiś płyn nazywany kawą czy herbatą. W sumie około 900 kalorii. Ilość nie wystarczająca do życia nawet przy całkowitym spokoju człowieka. Najłżejsza nawet praca i ruch musiały wywoływać poważne anaboliczne zaburzenia ustroju. Niedostateczne ubranie powodowało na zimnie zwiększoną utratę ciepła i takie samo poważne zaburzenie ustroju. Na skutek zimna musiały występować choroby, jak zapalenie płuc, opłucnej itd., które są chorobami poważnymi. Nie było żadnego leczenia ani lekarstw. Zatrudniono rzekomo lekarzy, ale zmuszono ich do przerzucania zwłok i zabroniono leczenia i przyjmowania chorych.

Ludzie byli tak osłabieni, że nie byli zdolni do przynoszenia ani przywożenia zmarłych i zabitych kolegów z pracy do obozu i żadne bicie nie zmusiłoby ich do tego. Błota były duże i droga tak ciężka, że nie mogli także pozwozić zwłok furmankami konnymi, co przedtem stosowano, ale wtedy przywożono zwłoki z pracy dużymi i silnymi samochodami. Sterta zwłok wysypywanych przed szpitalem często przekraczała półtora metra. Ustalanie numerów, czyli obozowa identyfikacja trwała często całą noc.

Opracowanie Kol. Jerzego Brandhubera w 4 numerze „Zeszytów Oświęcimskich” oddaje w zasadzie prawdę o tragedii jaka się co dzień rozgrywała w tym obozie jenieckim. Pozostaje mi jeszcze, jako bezpośredniemu świadkowi, wyjaśnić pewne nieścisłości tamtych sformułowań, jak np. dobijania i zabijania w rewirze czy zastrzyków fenolu. Te rzeczy w rewirze nie miały miejsca. Połamane kości i czaszki to następstwo i wynik działania w komandach pracy, bo nawet na blokach tak nie bito. Na podstawie znaczonych zapisów w księdze zmarłych, co można stwierdzić, jedynie około 100 chorych zmarło w łóżku rewirowym. Wyleczonych, jak podałem, pamiętam tylko jednego. Wszystkie te rzeczy były zamierzone. Zakaz przyjmowania do rewiru, bez skierowania blokowego czy Lagerältesta. Przyjmowano jedynie z komand dowiezionych i czasem rano z bloku, i to konających. Nie zabijano fenolem, bo nikt, ani SDG, ani lekarz niemiecki nie przychodzili do rewiru, w rewirze nie było nawet strzykawek i nie było po co zabijać. Zwłok było i bez tego za dużo. Problemem wtedy było ich usuwanie, a nie powiększanie. Jak było później, nie wiem i nie mam na ten temat żadnych wiadomości.

Rozpoznanie zgonów, tak jak i w szpitalu więźniarskim w Oświęcimiu, wszystkie były sztuczne i wszystkie według tego samego wzoru. Wypisywanie sztucznych godzin zgonu, było zamierzoną przeze mnie działalnością, aby przez swą sztuczność i dziwność zwracały uwagę każdego, że są nieprawdziwe – na wypadek, gdyby ta książka się kiedyś przypadkowo zachowała. Aby wskazywała, że wszystko jest fikcją i trzeba się zastanowić,

jak to rzeczywiście było. Pisałem więc godziny śmierci wyłącznie dzienne. Bo przecież nikt mi w nocy zmarłego nie dostarczał, a w szpitalu prawie nie leżeli, nie mogli więc umierać. Poza tym pisałem albo regularnie co 3, 5 lub co 10 minut po kilka zgonów lub też, jeśli ich było mniej, umierali pojedynczo, ale również w regularnych odstępach. Wydawało mi się, że takie postępowanie udziwni tę księgę do tego stopnia, że jeśli ocaleje, to kogoś zainteresuje, dlaczego tak się działo.

Przez wiele lat nie wiedziałem, że księga ta ocalała, jako jedna z niewielu. Cieszy mnie, że została właściwie odczytana i spełniła swoje zadanie. Po wojnie, kiedy toczyły się najważniejsze procesy, odbywałem służbę wojskową. Jedynie drobne fakty przedostawały się do mojej wiadomości. Później, jak wielu kolegów, omijałem z daleka miejsca kaźni. Dopiero przed 3 lata spotkałem w Muzeum fotokopie kart z tej księgi i poznałem własne pismo. Zaczynałem sobie powoli przypominać różne fakty. Wreszcie doszedłem do przekonania, że powinienem tę księgę jeszcze raz przeglądać, bo tam muszą być moje znaczki. I tak doszedłem do jej ponownego przeglądnięcia i przestudiowania. Scripta manent. Poczuliem się w obowiązku uzupełnienia wyjaśnień Kol. J. Brandhubera.

Na podstawie tej książki okazało się także, że istniała druga pośrednia numeracja bloków w Oświęcimiu. Istniał przecież tam wtedy w obozie jenieckim blok 21 i 21a. Na podstawie moich korespondencji zachowanych nikt mi nie chciał wierzyć, bo mogłem się mylić. A tam, w książce, którą przecież prowadziłem własnoręcznie tylko do 28 października, aż do 18 listopada występuje numeracja bloku 21. I ten dziwny blok o numeracji 22 i 23. Do bloku 22 i do piwnic bloku 24 byli głównie kierowani jeńcy po przesłuchaniach.

I jeszcze kilka wyjaśnień na tematy spotykane w różnych innych publikacjach. Piszą niektórzy o braku możliwości mycia itd. Warunki i stosunki sanitarne może były nieco gorsze niż po drugiej stronie drutów, ale były ustępy i instalacje wodno-kanalizacyjne w każdym bloku i były umywalnie, tzw. waszraumy. Nie było mydła, nie było ręczników i nie było bielizny do około 15 listopada. Do tego terminu, tylko po kilka osób pomagających blokowemu miało kompletne ubrania i bieliznę, a nawet płaszcze. Piszą niektórzy o pięknym wojskowym maszerowaniu i śpiewie. Tego nie widziałem i nie słyszałem. Zbyt poetyckie – to tak, jak o tych, co do nieba szeregami szli. Może tak było później, w następnych latach? Wtedy owszem, każdy blokowy miał swego nadwornego śpiewaka, który za zupełny chleb umiłował mu śpiewem wieczory. Ogół jednak, a byli to przecież ludzie wojskowi, widzieli, co się tam dzieje, i nie było im do śpiewu.

Czy były wtedy ucieczki? Nie słyszałem. Czasem dostarczano zwłoki z rozpoznaniem „auf der Flucht erschossen”. Widziałem takich zwłok kilka, trzy lub cztery. Według stanu fizycznego, żaden z nich nie mógł planować ucieczki. Co najwyżej było to pójście na posta, aby sobie skrócić męczarnię, lub

zamierzone zbrodnicze działanie SS-mana, potrzebującego urlopu do rodziny lub do dziewczyny.

Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia, jak się z tego obozu wydostałem. Na pewno nie wiem. Nasuwają mi się pewne przypuszczenia i skojarzenia. Jeszcze we wrześniu 1941 roku był ochotniczy zaciąg lekarzy do nowego obozu w Lublinie. Wiem, że zgłosiło się bardzo wielu tak ze szpitala, jak też z obozu. Ja też się zgłaszałem. Kto decydował o zakwalifikowaniu do wyjazdu, nie wiem. W każdym razie w końcu września lub z początkiem października kilku lekarzy zakwalifikowanych do wyjazdu zostało w tym celu przełożonych do kwarantannowego bloku, który mieścił się nad karną kompanią, na pierwszym piętrze bloku 11. Mówiono wówczas o 12 osobach. Kiedy jednak 8 listopada zostałem przeniesiony na kwarantannę, zastałem tam tylko czterech, a mianowicie: Stefana Pizłę (nr 333), Romualda Sztabę (nr 10977), Jana Nowaka (nr 17380) i Władysława Tondosa. Czekali oni jeszcze na wyjazd, tymczasem tylko spali w bloku kwarantanny, a pracowali nadal w dzień w szpitalu.

Ostatecznie tylko dwóch z nich, Sztaba i Nowak, wyjechali 8.02.1942 do Majdanka. W 1941 roku nie rozmawiałem więcej z Bockiem na ten temat. Obawiałem się go i w miarę możliwości unikałem. Niemniej miał on na pewno, poprzez lekarza obozowego, jakiś wpływ na wysyłanie lekarzy do innych obozów. Inna supozycja: Podczas urzędowania bloku 1 na szpital dla jeńców rosyjskich, przyszedł tam do mnie jakiś SS-man, Unterscharführer, i po dość grzecznej rozmowie zapytał, czy nie mógłbym wykonać mu 4 zastrzyków dożylnych, bo on się leczy w Katowicach, a teraz nie ma czasu tam jeździć. Powiedziałem mu, że nie wolno mi tego robić bez zgody Lagerarza, a po drugie nie mam nawet strzykawki. Wyjął z kieszeni paratus ze strzykawką sterylną i położył na stole pudełko papierosów. To przeważyło. Zrobiłem mu zastrzyk salwarsanu 0,45. Przychodził co czwarty dzień, ostatni raz był chyba około połowy października. Wtedy przywieziono z komanda kilkunastu zabitych jeńców. Powiedziałem mu, że to dobrze, że już koniec, bo w tych warunkach nie mógłbym mu dalej wykonywać zastrzyków. Przestraszył się i zapytał, czy dobrze wymyłem ręce. Spotniał i poczuł się źle. Położyłem go na moim łóżku, dałem zimny okład i byłem bardzo przestraszony. Po raz pierwszy widziałem go bez czapki. Blondyn, lekko rudawy, o przeredzonych włosach. Twarz tę widywałem już wcześniej w obozie, ale nazwiska nie znałem. Także Żegleń nie znał go. Szybko przyszedł do siebie, ale chwilę posiedział zanim wyszedł. Zapytał się, po co przyszedłem do pracy w obozie jenieckim, powinienem wiedzieć, że Niemcy nie lubią świadków. Kazali, to przyszedłem. Radzę ci wyjechać z Oświęcimia, powiedział. Zapytałem ze śmiechem, czy nie wie jak to zrobić? Powiedział wtedy, że pracuje w wydziale politycznym i łatwo może mnie dopisać do jakiegoś transportu. Poprosiłem, żeby to zrobił, jeśli może. Zapisał mój numer i nazwisko. Poprosiłem, żeby zapisał także dr. Żeglenia, podając go za mojego wujka. Zapisał także i poszedł. Tym razem nie

zostawił papierosów. Kiedy to opowiedziałem Żegleniowi, śmiał się ze mnie, że SS-man wykiął się zapisaniem numeru i nie dał papierosów.

Niespodziewanie, 8 listopada 1941, po apelu wieczornym wywołano nas obu. Była spora grupa wywołanych, nie wiedzieliśmy po co. Staliśmy chwilę na placu apelowym, a potem zaprowadzono nas na podwórze 11 bloku. To było już niepokojące. Zaczęło się już ściemniać. Ludzie zaczęli półgłosem rozmawiać. Nie brałem w tym udziału, nie znałem tam nikogo. Usłyszałem takie pytanie obok: Panie pułkowniku, co to będzie? I odpowiedź: Oj, panie kapitanie, przepraszam za wyrażenie, ale taki pan stary i taki głupi. Niechże się pan zastanowi, co to mamy teraz? Zbliży się 11 listopada. Popatrz pan po twarzach! Wybrali sobie z kartoteki samych oficerów i chcą nam zrobić święto narodowe!... Zaczęły się wspomnienia o pozostawionych dzieciach. Ktoś zaczął się półgłosem modlić. Stało się bardzo nieprzyjemnie. Nie mogłem się skupić. Byłem zmęczony. Śmierdziałem trupami, bo do apelu poszedłem prosto od ładowania zwłok. Myślałem tylko, żeby to za bardzo nie bolało... Po chwili wyszedł z bloku SS-man z jakimś funkcyjnym Niemcem w opasce blokowego i wywołano nas obu z Żegleniem. Zaprowadzono nas na 1 piętro, na kwarantannę. Powiedziano, że wyjedziemy do Gross-Rosen. Tamtych też zabrano z podwórza, ale dokąd, nie wiem, czy do SK, czy do bunkrów. Następnego dnia była około południa większa rozwałka z broni małokalibrowej pod ścianą śmierci. Około 50 ludzi, ale czy to byli ci sami wczorajsi, nie wiem na pewno. Podobno nie doprowadzono w dzień rozwałki żadnych nowych. Byliśmy przekonani, że to ci sami.

Blok kwarantanny był wówczas przepelniony. Przez kilka dni dzieliłem łóżko z wychodzącym na wolność Zbyszkim Sawanem. Naprzeciwko, w kącie, sypiał dr Tondos, a z drugiej strony dr Pizło. Więźniowie kwarantanny pracowali na dworcu kolejowym w Oświęcimiu. Do apeli nie schodziliśmy na dwór. Dwa razy wyszedłem z komandem do pracy w mieście, aby skosztować świeżego powietrza. Było już jednak zimno, a poza tym miałem już dość planów ludzi, którzy wychodzili do domu. Nie znalazłem chętnego, który chciałby zapamiętać adres mojej rodziny i napisać list z wiadomością o mnie. Każdy się bał. Myślę jednak, że taki list anonimowy niczym nie groził. W ciężkich chwilach jest człowiek sam. Poszedłem zatem do Bocka i poprosiłem o pracę w rewirze do chwili wyjazdu. On także rzekomo nic nie wiedział, kto nas wyznaczył do wyjazdu, ale nie wiem, czy mówił prawdę. Wróciłem do pracy do dr. Türschmieda, na oddział chirurgiczny.

Poszukiwałem kogoś, kto wiedziałby coś o Gross-Rosen. Teofil Banasiuk, leichenträger, twierdził, że to może być Różana pod Białymstokiem, gdzie w koszarach podchorążówki Niemcy urządzili obóz. Bernard Świerczyzna wypytywał kolegów z kancelarii obozowej i wydziału politycznego. Powiedziano mu, że to jest jakiś nowy obóz na Śląsku, ale gdzie, nikt nie wiedział.

Poszukiwałem kolegów z Gorlic, z którymi razem przebywałem w więzieniu, ale nie wszystkich odnalazłem. Ks. Franciszek Herr (nr 5681), jeszcze w grudniu 1940 r. wyjechał do Dachau. Prof. Jan Dziopek (nr 5636) pracował w stolarni. Mój kolega szkolny i wielki przyjaciel Ignac Sikora (nr 5814) pracował w Bunawerke i nie odnalazłem go. Andrzej Lewicki (nr 5718), student Politechniki Lwowskiej, syn mojego profesora gimnazjalnego, przebywał u dr. Tondosa na oddziale gruźliczym i był u kresu sił. Opiekował się nim syn innego mego profesora Leon Rusinek (nr 5783), pracujący w kuchni, ale Andrzej nie mógł już wiele jadać. Poleciałem go, tj. Andrzeja, dr. Tondosowi, ale zdawałem sobie sprawę, że wszelka pomoc jest tu już spóźniona, zmarł 14.01.1942 r. W kartoflarni pracował jeszcze inny mój profesor Aleksander Pazurkiewicz (nr 5785). Dostał się tam po kuracji u mnie, z powodu ropowicy, jeszcze na wiosnę 1941 roku. Był on jednak, mimo lekkiej pracy, w stanie znacznego wycieńczenia. Inny mój kolega szkolny, Tadeusz Mruk (nr 228), też z Gorlic, pracował gdzieś na Bauhofie i nawet pod dachem, ale była to już tylko maska człowieka. Mały, wychudzony, wyglądem przypominał 15-letniego chłopczyka (zmarł 1.04.1942). 2 grudnia 1941 wezwał mnie po apelu któryś z kolegów do bloku 28, bo tam, sądząc po numerach, przebywał mój kolega o podobnym numerze. Tak, to był Stanisław Gryboś z Gorlic (nr 5669), również mój znajomy z wolności i z więzienia. Przyniesiono go tego dnia z komanda roboczego, prawie zupełnie zamarznętego. Nie udało się go odratować. Nie odzyskał przytomności ani na chwilę. Był cały czas w błogostanie. Uśmiechał się, nic nie mówił, bawił się swoimi palcami u rąk. Zmarł koło północy. Nawet nie był jeszcze zbyt wychudzony. 6 grudnia zmarł niespodziewanie, po cichutku w nocy, na naszym oddziale, mgr Witold Fusek (nr 18699), aptekarz z Biecza. Przeleżał od sierpnia 1941 roku z powodu olbrzymiego owrzodzenia prawego podudzia. Był cały czas pacjentem dr. Türschmieda, z którym znali się jeszcze sprzed wojny. Staruszek ten (miał dopiero 56 lat) był przez wszystkich bardzo lubiany.

15 grudnia przyszedł do mnie Bernard Świerczyna z Effektenkammer i powiadomił mnie, że otrzymali polecenie przygotowania dla mnie ubrania na 17 grudnia. W moim worku nie odnalazł jednak nic nadającego się do ubrania w zimie. Tak, aresztowali mnie w krótkich spodenkach i wiatróweczce oraz w pantoflach drewnianych, które podczas bicia przy „witaniu” w Oświęcimiu pogubiłem. Wtedy też koszula i wiatrówka zostały podarte. Obiecał mi coś odpowiedniego poszukać. Długo wtedy sobie opowiadaliśmy i przyrzekli spotkać się po wojnie w Mysłowicach. Ilekroć przechodzę tam ulicą jego imienia, wspominam go sobie. Porządny kolega. Wtedy ubrał mnie jak z igły. Ciepłe ubranie, ciepły płaszcz, porządne buty, nawet o chusteczkach do nosa i szczoteczce do zębów nie zapomniał. A do kieszeni wetknął mi niezmierny skarb, ostatni przedwojenny polski kalendarz lekarski, który potem przemyciałem z obozu do obozu. Taki był Bernard.

17 grudnia około południa, po załatwieniu wszelkich formalności w kancelarii i podpisaniu jakichś zobowiązań o tajemnicy, wyszliśmy z kol. Żegleciem, w kajdankach i na łańcuszku, z obozu w kierunku stacji kolejowej w Oświęcimiu. Po drodze mineliśmy idącego już w cywilu i bez straży Zbyszka Sawana. Na stacji wsadzono nas do tzw. więźniarki kolejowej i po kilkugodzinnym czekaniu pojechaliśmy na wschód...

... W książce Janusza Gumkowskiego i Tadeusza Kułakowskiego z 1967 roku pt. „Zbrodniarze hitlerowscy przed najwyższym Trybunałem Narodowym” wśród fotografii oprawców z Oświęcimia tam przedstawionych, rozpoznałem SS-mana, któremu w 1941 roku w obozie jenieckim w Oświęcimiu wykonywałem zastrzyki salwarsanu, i który obiecywał wpisać nas na listę transportową, jako SS-Unterscharführera Ludwika Plagge.

Wysyłając mnie do następnego obozu w Gross-Rosen, władze obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nie przekazały za mną mego konta bankowego i nie przyjmowały dalszych pieniężnych przesyłek. Ja miałem ostatni list z domu 4.10.1941 r. w Oświęcimiu, a następny list od matki otrzymałem dopiero w maju 1942 roku już w Gross-Rosen. Natomiast ja ostatni list do domu pisałem 5.10.1941 z Oświęcimia, potem z kwarantanny już nie wolno było pisać, a listy pisane od stycznia (11.01.1942) z Gross-Rosen, moja matka otrzymała dopiero 25 kwietnia 1942. W tym czasie natomiast otrzymała dwa zwroty pieniędzy przesyłanych nadal na mój adres w Oświęcimiu. Otrzymała też następujące zawiadomienie z banku:

„Kreditanstalt Bankverein Filiale Krakau – den 29. Januar 1942 – Frau Maria Halgas – Krygdorf Dominikowice – Kr. Jaslo. — Wir teilen Ihnen höfflist mit, das uns das Konzentrationslager in Auschwitz den Betrag von 96 Zl zurücksandte (überwiesen am 6.12.41) mit dem Vormerk, das der genannte im Lager nicht mehr anwesend, bzw. nicht mehr feststellbar ist”. (Zawiadomiamy Panią, że obóz koncentracyjny w Oświęcimiu zwrócił nam, przekazaną 6.12.41 kwotę zł 96, z uwagą, że adresat nie znajduje się już w obozie, lub nie można go tam odnaleźć).

Był to dla mojej rodziny ciężki wstrząs. W tym czasie nie w każdym wypadku zgonu więźnia powiadamiano rodzinę. Nie otrzymując nadal ode mnie żadnej poczty, matka wysłała w dniu 22.04.1942 ponownie 50 zł na mój adres w Oświęcimiu. Otrzymała je z powrotem 11.05.1942 z następującą uwagą:

„Rücksendung Ihrer Postüberweisung v. 22.4.42. Zl 50- Lt.u/Schr. v. 11.5.42, die Zahlungen nach Konz. Lagern ab 1.4.42 nicht mehr möglich sind”. (Zwrot Pani przekazu z dnia 22.4.42, wg pisma z 11.5.42, przesyłki pieniężne do obozów koncentracyjnych nie są możliwe).

Moje listy otrzymała matka, z 3-miesięcznym opóźnieniem, dopiero 25 kwietnia 1942 r. Dopiero po 6-miesięcznej przerwie dowiedziała się, że żyję i jestem w innym obozie.